

*S*W. ANTONI
MARIA KLARET

MISJONARZ APOSTOLSKI

Emilio Vicente Mateu

*S*W. ANTONI
MARIA KLARET
MISJONARZ APOSTOLSKI



**San Antonio María Claret
Misionero Apostólico**

© Publicaciones Claretianas, 2007

© For the Polish edition by

Misjonarze Klaretyni Kuria Prowincjalna, 2008
ul. Poborzańska 7, 03-368 Warszawa

Opracowanie i redakcja: Krzysztof Gierat CMF

Tłumaczenie z hiszpańskiego: Teresa Jaromin

Wydawnictwo Misjonarzy Klaretynów PALABRA

ISBN 83-89691-51-5

Wprowadzenie do wydania polskiego

W jubileuszowym roku 200-lecia urodzin św. Antoniego Marii Klareta oddaję do rąk Czytelnika obecne wydanie książki pod tytułem *Święty Antoni Maria Klaret Misjonarz Apostolski*. Ufam, że ta publikacja przybliży postać Świętego współczesnemu czytelnikowi w taki sposób, aby zbliżając się do tego świadka Bożego, zapalającego ewangelizacyjną gorliwością, nie tylko się Nim zainteresował, ale i ożywił się jego misyjnym entuzjazmem w służbie dzisiejszego świata i Kościoła.

Czytelnikom życzę bogatej duchowo lektury i łączę Chrystusowe pozdrowienie –

O. dr Krzysztof Gierat CMF
Prowincjał

WSTĘP

W ostatnich miesiącach 1861 roku Ojciec Klaret rozpoczął pisać własną biografię. Nie czynił tego z osobistego upodobania lub z potrzeby mówienia pochlebnie o sobie samym. Święci nie postępują w ten sposób. Podjął tę pracę z polecenia O. José Xifré, swego duchowego kierownika i Przełożonego Generalnego Zgromadzenia Misjonarzy, założonego przez Ojca Klareta. Święty wyznaje, że nie podjąłby się pracy pisania o własnym życiu, „*gdyby nie jego polecenie. Tak więc tylko z posłuszeństwa to czynię i przez wzgląd na posłuszeństwo wyjawię sprawy, które wolałbym, aby pozostały przykryte zasłoną tajemnicy*” (Aut. 1).

Z okazji dwusetnej rocznicy narodzin Świętego Antoniego Marii Klareta oddajemy czytelnikom tę skromną edycję biografii, tego Męża Bożego, który pragnął naśladować Jezusa Chrystusa głosząc dobrą Nowinę o Królestwie Bożym. Adaptację tego autobiograficznego dzieła,

napisanego językiem żywym i współczesnym
zawdzięczamy o. Emilio Vicente Mateu. Pozo-
stawiając na boku sprawy interesujące history-
ków oraz inne o znaczeniu lokalnym, autor pre-
zentuje nam dzieło w swojej istocie wiernie od-
powiadające oryginałowi autobiografii napisanej
przez O. Klareta.

Pod hasłem *Śladami Ojca Klareta* załączamy
opis Rodziny Klaretyńskiej, to znaczy instytucji
współdzielących ten sam dar charyzmatyczny
Ducha, który ożywił Świętego Antoniego Marię
Klaretę.

I.

PIERWSZE LATA MOJGO ŻYCIA

W DOMU RODZINNYM

Moja rodzina, bardzo liczna, składająca się z 11 dzieci, wyróżniała się dwoma charakterystycznymi przymiotami, które można także spotkać w innych środowiskach mojej ziemi ojczyściej: życzliwą i szczerą atmosferą oraz codzienną pracą przy małym przydomowym warsztacie tkackim.

Ta atmosfera zapisała się głęboko w moim sercu od pierwszych lat życia. Już jako mały chłopiec byłem rozmiłowany w praktykach pobożności. Gdy znajdowałem się w kościele z rodzicami, trwałem skupiony i skoncentrowany na czynnościach liturgicznych.

Mając dziesięć lat przystąpiłem do Pierwszej Komunii świętej. Jeszcze dzisiaj nie potrafię wyrazić tej ogromnej radości odczuwanej w tamtej chwili.

Tam, wśród mego ludu, nauczyłem się wszystkiego, czego można było się nauczyć. To, co najlepiej sobie przyswoiłem, bez wątpienia, była umiejętność wytwarzania tkanin. Sądzę, że Bóg dał mi właściwe zdolności w tym kierunku.

Jednym z moich pierwszych i najbardziej głębokich przeżyć jest wspomnienie z czasu, gdy miałem zaledwie pięć lat. Zdarzało się, że często nie mogłem zasnąć i wtedy przychodziły mi do głowy natarczywe myśli niepozwalające mi zasnąć. Myślałem o wieczności: *zawsze... zawsze... zawsze...* Wyobrażałem sobie ogromne przestrzenie. Do nich dodawałem następne i następne. Kiedy nie mogłem zbliżyć się do ich końca, ogarniało mnie przerażenie. Myślałem przede wszystkim o osobach, które mogłyby nie zostać zbawione i potępić się na zawsze...

Ja, który jestem bardzo wrażliwy na nieszczęścia i potrzeby innych ludzi, zachowałem na zawsze tę samą o nich troskę. To, co najbardziej mnie motywowało i motywuje nadal, to oddać swoje życie sprawie zbawienia ludzi.

Inne wspomnienie, jakie noszę w pamięci ze wzruszeniem z tamtych lat, to głębokie nabożeństwo do Najświętszej Maryi Panny. Jako mały chłopiec otrzymałem różaniec i na nim modliłem się często. Miałem wielką ufność do tej modlitwy i byłem pewien, że Maryja mnie wysłuchuje.

Chciałbym teraz modlić się z taką samą ufnością, z jaką modliłem się wtedy.

Głęboko w mojej pamięci zapisały się również częste wycieczki do Najświętszej Panny, jakie wraz z moją siostrą Różą odbywaliśmy do jej małej kapliczki w Fussimanya, leżącej w odległości pięciu kilometrów od naszej miejscowości. Nie potrafię wyjaśnić uczucia, jakie przeżywałem w tej kaplicy. Ten cudowny widok Najświętszej Panny zawsze noszę w moim sercu.

LATA SPĘDZONE W BARCELONIE

Dziecięce lata, które wspominam z tak wielkim wzruszeniem, pozostały za mną. Odczuwałem wielką potrzebę zwyczajania. Chciałem pogłębiać moją wiedzę na temat produkcji tekstylnej. Moja miejscowość wydawała mi się zbyt mała, dlatego prosiłem ojca, aby pozwolił mi udać się na naukę do Barcelony.

Wielkie miasto zmieniło bardzo moją sytuację. Przejście z miejscowości zagubionej pośród pól do miasta, które zaczynało gwałtownie rosnąć i nabierać znaczenia w przemyśle, przeżywałem w pierwszej chwili jako cudowny i nie do opowiedzenia sen, który stał się nagle rzeczywistością.

W Barcelonie, sam własną pracą zarabiałem na utrzymanie, ubranie, naukę i inne osobiste wydatki. Tak było od 18 do prawie 22 roku życia.

Muszę wyznać, że w Barcelonie powodziło mi się bardzo dobrze. Praktyka i nauka dały mi solidną formację do pracy w przemyśle tekstylnym.

Wraz z upływem czasu, rozeszła się po całym mieście sława o moich zdolnościach w wytwórstwie tekstylnym i wiele osób, które mnie znały, myślały, że byłoby dobrą rzeczą wejście ze mną w spółkę, celem założenia przedsiębiorstwa. Chcieli oni, abym był dyrektorem tego nowego przedsiębiorstwa. Przekonywali o tym mojego ojca, a ojciec to przekazywał mnie. Chciał, abym zrozumiał, że ta przyszłość jest w moich rękach i nie powinienem pozwolić, aby tak wspaniała okazja przeszła obok mnie. Był on oczarowany tą ideą.

I pierwszy raz w życiu nie posłuchałem rady mojego ojca. Przedłożyłem mu tysiące wymówek. Powiedziałem mu, że jeszcze jestem zbyt młody, że nie miałbym wymaganego autorytetu wśród pracowników oraz cały szereg powodów, które wyszukiwałem w tamtej chwili.

Prawdziwy powód był jednak inny: to wszystko, w rzeczywistości, mnie nie zadowalało. Pomimo osiągniętych sukcesów i obiecującej przyszłości, byłem pewien, że Bóg chce ode mnie czegoś innego. W owym czasie nie wiedziałem jeszcze wyraźnie, czego Bóg oczekuje ode mnie, ale przeczuwałem, że chodzi o coś innego, niż to, co mi oferowano.

Z drugiej strony muszę jednak przyznać, że w tym środowisku czułem się jak u siebie w domu. Moją pasją była wynalazczość, i to do tego stopnia, że cały czas chodziłem rozważając o nowych projektach, nowych ideach, nowych możliwościach... Przez długi czas było to moją prawdziwą obsesją. Ciągłe myślenie o maszynach, krosnach i nowych wzorach tak mnie absorbowało, że nie potrafiłem myśleć o niczym innym.

DOŚWIADCZENIE POZOSTAWIAJĄCE ŚLADY

W tym czasie miały miejsce zdarzenia bardzo ważne dla mnie do tego stopnia, że całkowicie odmieniły bieg mego życia. Było to tak, jakby stopniowo odkrywała się przyczyna tego mojego głęboko odczuwanego niezadowolenia, pomimo osiągniętych sukcesów. Te wydarzenia zbliżyły

mnie do powołania, które w sposób ostateczny nadało sens mojemu życiu.

Pierwsze z tych zdarzeń miało miejsce, gdy pewnego pięknego dnia poszliśmy razem z przyjaciółmi w Barcelonie nad morze, aby się kąpać. Gdy znalazłem się w wodzie, olbrzymia fala poniosła mnie w głąb morza. Przeżywałem zbliżający się kres mego życia. Myślałem, że to już koniec wszystkiego. Przyjaciele, którzy pozostali na plaży, także uznali mnie za straconego. W tych chwilach trwogi poczułem rękę Najświętszej Panny, która mnie wyciągnęła z wody i postawiła na brzegu cało i zdrowo.

Było to bardzo ciężkie doświadczenie. Ja, który czułem się młody i pełen sił, zobaczyłem na własnej skórze, jak kruche jest ludzkie życie. Zdałem sobie sprawę, że mogłem je stracić w jednej chwili. Doświadczyłem także, że jedyne, co jest absolutne, jedyne, co trwa, jest miłość, którą Bóg obdarza nas nieustannie.

Drugie z tych wydarzeń odnosi się do pieniędzy. Ponieważ zarabiałem wystarczająco dużo pieniędzy, mogłem zaoszczędzić pewną sumę. Jeden z moich przyjaciół, który o tym wiedział, poprosił mnie o pożyczkę. I zdarzyło się to, co

często się zdarza: straciłem pieniądze i przyjaciela.

W rzeczywistości ten przyjaciel był nałogowym hazardzistą. Gdy narobił więcej długów niż mógł zapłacić, nie tylko przepadł z pożyczoną gotówką, ale ukradł mi wszystkie oszczędności. Został dopiero zatrzymany, gdy usiłował okraść innego przyjaciela. Przeżyłem wtedy okropny wstyd. Wydawało mi się, że wszyscy wskazują na mnie palcami, jako na przyjaciela rabusia.

Zdrada tego przyjaciela napełniła mnie goryczą. Przede wszystkim zdałem sobie sprawę z tego, jak nikłe bezpieczeństwo zapewniają środki materialne, gromadzone z tak wielką skrupulatnością.

W tej sytuacji nabrały dla mnie szczególnego znaczenia te słowa zawarte w Ewangelii: „*Gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie złodziej się nie dostaje ani mól nie niszczy*” (Łk 12,3).

Być może, dla innych ludzi to nie ma specjalnego znaczenia. Ja jednak poczułem znowu jak małe są rzeczy, gdy je porównujemy z wielkością Boga.

Trzeci wypadek miał miejsce w domu innego przyjaciela. Poszedłem odwiedzić go w jego

domu, ale go nie zastałem. Jego żona, młoda i atrakcyjna, prosiła mnie, abym na niego zaczekał, ponieważ zaraz miał przyjść. Czekając chwilę, zrozumiałem prawdziwe intencje owej kobiety, dlatego zaprosiła mnie, abym czekał: poczęła narzucać mi się słowami i gestami. W tej sytuacji wybiegłem z tego domu i nigdy już tam nie wróciłem.

Tym razem zrozumiałem, że miłość ludzka może być zdradzona. Jedynie Bóg zawsze miłuje i zawsze jest wierny.

Czwarte zdarzenie rozbiło do reszty w pył to, co jedynie mnie trzymało w Barcelonie i co wytrzymywało wszystkie próby i w tym czasie nadawało sens mojemu życiu, moja pasja w twórczości tekstyjnej.

Wszystko to runęło w gruzy, gdy pewnego dnia usłyszałem słowa z Ewangelii, które zapadły głęboko w moje serce: „Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł? Albo co da człowiek w zamian za swoją duszę?” (Mt 16,26).

Poczułem się obco w moim własnym środowisku. Dalszy pobyt w Barcelonie nie miał już dla mnie sensu.

WAŻNA DECYZJA

Przybyłem do Barcelony z postanowieniem, by zdobyć to, co jest najlepsze. Teraz jednak myślałem, że najlepszą rzeczą będzie odejść stąd jak najszybciej. Pragnąłem uciec i zamknąć się w samotni klasztoru kartuzów. Myślałem, że byłby to najlepszy sposób, aby odciąć się radykalnie od tego, co aż dotąd stanowiło moje marzenie.

Niemniej musiałbym uczynić krok najbardziej trudny; musiałbym powiadomić o tym moich rodziców. Wiedziałem, że byłby to dla nich okrutny cios, szczególnie dla mojego ojca, który pokładał we mnie tyle nadziei.

Gdy rozpocząłem rozmowę z moim ojcem, wprawiłem go w wielkie rozczarowanie. Usiłował przekonać mnie tysiącem argumentów, abym zmienił moją decyzję. Nie mógł mnie zrozumieć. Ponadto, gdy mu powiedziałem, że chcę w rzeczywistości zostać braciszkiem u kartuzów, tym bardziej nie mógł tego pojąć.

Mój ojciec był dobrym człowiekiem i nie chciał sprzeciwiać się mojej decyzji. Później, po długiej rozmowie, jedynie mnie prosił, abym nie podejmował decyzji nazbyt pochopnie. Mówił,

że powinienem skonsultować to z jakimś doświadczonym kapłanem. On przyjmie decyzję, jaką podejmiemy po takiej konsultacji. Jednak nie ukrywał, że wołałby mnie widzieć bardziej jako kapłana diecezjalnego, niż jako braciszka u kartuzów.

Idąc za radą mojego ojca udałem się do Oratorium św. Filipa Nereusza celem konsultacji z kapłanem. Ów kapłan, po życzliwym i uważnym wysłuchaniu moich wyznań, ucieszył się bardzo z decyzji, jaką zamierzałem podjąć. Niemniej poradził mi, abym w tym czasie rozpoczął naukę wskazanych przedmiotów, które w każdym przypadku mogą mi się przydać, co też uczyniłem zgodnie z jego radą.

W miarę upływu czasu czułem jak budzą się we mnie uczucia dotychczas uspięne.

Wówczas zrozumiałem kryzys, przez jaki przechodziłem i stopniowo koncentrowałem się na nowym ukierunkowaniu mojego życia. Wraz z upływem czasu widziałem coraz wyraźniej, jaka była moja droga życia.

II.

ROZPOZNAWANIE POWOŁANIA

W MIEŚCIE VIC

W ten sposób, po czterech latach opuściłem Barcelonę, aby rozpocząć nową drogę w moim życiu. Był to miesiąc wrzesień. Spędziłem kilka dni odpoczynku z moją rodziną i przy końcu miesiąca rozpocząłem starania o przyjęcie do Seminarium w Vic. Dnia 29 września 1829 roku, w dniu św. Michała, udałem się do Vic w towarzystwie moich rodziców, celem przedstawienia się Księdzu Biskupowi. I tak rozpocząłem życie seminarzysty.

Vic zawsze miało dla mnie duże znaczenie. Z wielu powodów uważam je za moją drugą ojczyznę. Wówczas miasto liczyło około dwanaście tysięcy mieszkańców i całe środowisko tętniło atmosferą życia głęboko religijnego. Wystarczy wymienić, że blisko stu kapłanów obsługiwało parafie, katedrę i seminarium, nie licząc klasztorów zakonnych męskich i żeńskich.

Ponad dwadzieścia świątyń i wspaniałe kościoły katedralne kształtowały atmosferę duchową i tworzyły szczególne środowisko, w którym kwitły obficie powołania i nadając mu cechy miasta kapłańskiego.

W Vic urodzili się, żyli i głosili słowo Boże wielcy święci, założyciele, intelektualisci i niezliczona rzesza osób, których imiona stanowią dumę historii tego miasta.

ŻYCIE SEMINARZYSTY

Gdy rozpocząłem moje studia było nas w diecezji około tysiąca seminarzystów. Nieliczni mieszkali w internacie seminaryjnym, inni, do których należałem ja, mieszkaliśmy gościnnie po domach rodzinnych, które nas utrzymywały w zamian za prace domowe, nauczanie dzieci lub zwyczajnie z chęci współpracy w formacji przyszłych księży.

Atmosfera w seminarium była decydująca w formacji wielu księży, którzy później wyróżniali się swoją wiedzą i cnotami. Wraz z solidną formacją chrześcijańską otrzymywaliśmy wiedzę filozoficzną i teologiczną, zgodnie z programem studiów mających charakter poważny i wymagający.

To było Vic jakie znałem, i które zapisało się głęboko w mojej pamięci: malownicze i przytulne; ze starożytnym rodowodem i młodzieńczą atmosferą, pracowite i mistyczne, skromne i wykształcone.

Jak już wspomniałem, uczęszczałem do Seminarium jako eksternista. Przyjęto mnie do domu zwanego Tortadés z księdzem Fortián Bres, bardzo zacnym kapłanem, który mnie wielce ceniał w zamian za pomoc w zlecanych zajęciach. Czulem się jak jeden z członków rodziny. Wspólnie odmawialiśmy modlitwy, spożywaliśmy posiłki przy tym samym stole, spędzaliśmy miłe chwile na przyjaznych rozmowach. Moje zadanie było raczej wspaniałą nagrodą niż obowiązkiem: każdego ranka miałem pomagać przy sprawowaniu Eucharystii.

Forma eksternistycznych studiów w rzeczywistości była sytuacją do pozazdrosczenia i całkowicie wolną od zobowiązań, które mogłyby przeszkodzić w mojej formacji kapłańskiej.

Z mojej strony starałem się odpowiadać na to najlepiej, jak tylko mogłem. Sądzę, że owe lata były decydujące w mojej formacji intelektualnej i w zbudowaniu solidnych fundamentów chrześcijańskiego życia. W ten sposób, rok po roku, czyniłem postępy na drodze do stanu kapłańskiego.

Starałem się ze wszystkich sił i możliwości zdobywać doskonałość. Po ukończeniu trzech kursów filozoficznych rozpocząłem siedem kursów studiów teologicznych.

Na początku nie było mi łatwo przystosować się do nauki w Seminarium. Przyszedłem ze środowiska bardzo odmiennego, a poza tym, wiekiem przewyższałem wszystkich pozostałych seminarzystów, a studia, jakie odbyłem przedtem odpowiadały zupełnie innym zainteresowaniom.

Na początku nie było mi więc łatwo. Później jednak, po skończeniu różnych kursów, poczułem się bardziej pewnym do tego stopnia, że mógłbym powiedzieć, iż studia teologiczne w swej całości szły mi o wiele lepiej, tak odnośnie do ocen akademickich jak i w odniesieniu do satysfakcji osobistej.

W czasie tych lat spędzonych w Seminarium miały miejsce trzy wydarzenia o szczególnym znaczeniu, które wypada przytoczyć, ze względu na ich wagę w moim życiu.

PRAGNIENIE ZOSTANIA KARTUZEM

W czasie pierwszego roku moich studiów filozoficznych, pośród oddania się nauce i praktykom pobożności, nigdy nie zapomniałem o moim pragnieniu zostania kartuzem. Na biurku, przy którym studiowałem, umieściłem obrazek św. Brunona, założyciela kartuzów, który mi ustawicznie o tym przypominał.

Rozmawiałem często na ten temat z moim kierownikiem duchowym – o. Pedro Bach, zakonnikiem z Oratorium św. Filipa Nereusza. Sprawy zaszły tak daleko, że on przekonał się, iż jest to powołanie od Boga. Napisał list do Ojca Przeora kartuzów i razem ustalili, że po skończeniu pierwszego roku przejdę do kartuzów.

Bardzo zadowolony rozpocząłem podróż do Barcelony i stamtąd do klasztoru kartuzów w Monte Alegre. W połowie podróży rozpętała się tak wielka burza, że napełniła mnie przerażeniem. Aby schronić się przed ulewą zacząłem biec, jednak z powodu zmęczenia i tumanu pyłu, jaki unosił się z wysuszonej i rozpalonej ziemi, zacząłem się dusić i dławić. W tym czasie moje zdrowie było nadszarpnięte z powodu przepracowania na pierwszym roku studiów. W tej sytuacji pomyślałem, że to wszystko być może, nie odpowiada woli Bożej. Bóg chyba wzbudził we mnie te uczucia i pragnienia zostania kartuzem jedynie po to, aby wyrwać mnie ze świata. Ta myśl zaniepokoiła mnie do tego stopnia, że nie miałem już sił, aby kontynuować podróż. Powróciłem do Vic. Natychmiast po powrocie przedstawiłem to mojemu spowiednikowi. On jednak zachował

milczenie. Od tego czasu już więcej nie myślałem, aby zostać kartuzem. Pojąłem, że to wezwanie było jakby przejściowe. Pan chciał przybliżyć mnie w ten sposób do powołania misjonarskiego, jak później mogłem się o tym przekonać.

POMOĞŁA MI MARYJA DZIEWICA

Drugie wydarzenie miało miejsce w następnym roku.

W czasie zimy zachorowałem i musiałem spędzić parę dni w łóżku. W jednym z tych dni, około godziny wpół do jedenastej rano zacząłem doświadczać strasznych pokus przeciwko cnocie czystości. Wzywałem pomocy Maryi Panny i wszystkich Świętych. Staralem się zająć moją wyobraźnię innymi sprawami. Czyniłem wszystko, co jest możliwe, ale daremnie. Usiłowałem zmienić pozycję w łóżku i odwracając się zauważyłem obecność Maryi Dziewicy, która trzymała w ręku kwiaty. Maryja skierowała się do mnie i powiedziała: „Antonio, jeśli zwyciężysz, ten wieniec będzie twój”. Oniemiałem w tym momencie, przede wszystkim widząc jak Maryja wkładała na mą głowę kwiaty, które przedtem miała w ręce.

W tej sytuacji mój pokój wydawał się polem walki: po jednej stronie znajdowali się święci, którzy modlili się, abym zwyciężył tę pokusę, a po drugiej wojsko piekielne uformowane w szyku jak żołnierze w czasie bitwy.

W tym czasie ja byłem całkowicie wstrząśnięty. Nie pojmowałem, co się dzieje. Niemniej, tak szybko jak to minęło, poczułem się uwolnionym od pokusy. Byłem szczęśliwy i pełen radości, nie wiedząc właściwie, co się ze mną stało.

Wielekroć myślałem o tym, czy to tylko był sen, skutek gorączki lub jakiś rodzaj halucynacji. Jestem jednak pewien, że wtedy nie spałem, nie czułem też zawrotów głowy ani żadnej innej dolegliwości, która mogłaby wywołać podobną wizję. Dlatego zawsze wierzyłem, że to miało miejsce w rzeczywistości i dzięki obecności Maryi Dziewicy zostałem uwolniony od owej nieczystej pokusy.

Od tamtego momentu aż dotąd nie odczuwałem tych trudności, które można by nazwać pokusą. Ten fakt miał ogromne znaczenie w moim życiu. Widziałem jasno jak Bóg zwycięża zło za pośrednictwem Maryi Dziewicy.

PRZY ŚWIĘCENIACH DIAKONATU

Trzecie zdarzenie ma pewien związek z tym, co opowiedziałem powyżej, chociaż miało miejsce w innym czasie, a mianowicie w dniu przyjęcia święceń diakonatu 21 grudnia 1834 roku.

Gdy Ksiądz Biskup w czasie święceń wypowiedział słowa wzięte do rytuału z listu św. Pawła Apostoła: „Nie toczymy bowiem walki przeciw krwi i ciału, lecz przeciw zwierchnościom, przeciw władzom, przeciw rządcom świata tych ciemności”, przenosiłem się myślami w przeszłe lata. Wspominałem wówczas to wszystko, co miało miejsce w momencie kuszenia w domu Tortadés i zrozumiałem ową wizję z tamtych czasów. Poczulem się posłanym na odpowiedzialną misję, która jest twardą walką, walką kontynuowaną. W tej walce nie będę jednak sam, to Maryja będzie przewodzić i ja oddam się Jej jako syn i kapłan. Ona mocą swych ramion pośle mnie tak, jakbym był strzałą w Jej rękach.

Od tego czasu moje powołanie apostołskie i misyjne było jasne i zdecydowane.

WYŚWIĘCONY NA KAPŁANA

Było zwyczajem w diecezji udzielanie święceń kapłańskich po ukończeniu przygotowań do tego stanu, to znaczy po zakończeniu szóstego kursu z teologii.

Wbrew wszystkim przewidywaniom i zasadom, jakie Ksiądz Biskup stosował w swojej diecezji, on sam chciał przyspieszyć datę moich święceń kapłańskich. W rzeczywistości do dzisiaj nie wiem, dlaczego czynił dla mnie ten wyjątek. Możliwe, że z powodu mojego wieku, a być może także dlatego, aby zaradzić nieobecności kapłana w mojej miejscowości. Nie wiem, co on we mnie widział. Jest pewne, że dnia 13 czerwca 1835 roku w Solsona zostałem wyświęcony na kapłana. Był to dzień mojego świętego Patrona. Ukończyłem trzeci rok teologii i miałem wówczas 27 lat życia.

Pierwszą Mszę św. odprawiłem w kościele parafialnym w Sallent dnia 21 tego samego miesiąca w uroczystość św. Alojzego Gonzagi. Był to dzień wielkiej radości nie tylko dla mnie i mojej rodziny, ale dla wszystkich mieszkańców.

Po upływie dni tych głębokich przeżyć i roz-

poczęciu posługi kapłańskiej, powróciłem do Vic, aby kończyć studia.

NASZ KSIĄDZ ANTONI

Jestem już księdzem. Teraz wszyscy zwracają się do mnie „księżę Antoni”...

Sytuacja polityczna była napięta. Były to czasy wojny domowej. Po śmierci króla Ferdynanda VII, dwa lata wcześniej karliści i liberałowie walczyli o sukcesję do korony.

Jedną z cech tej wojny były prześladowania religijne. Zakazano klerykom zbierania się w seminariach, co zmusiło do przełożonych reorganizacji studiów. Wykłady prowadzono w formie prywatnych konferencji i w ten sposób zaliczano poszczególne przedmioty.

W tym wszystkim pojawiła się sprawa braku kapłana wspomagającego proboszcza w mojej miejscowości. Wikariusz zarządzający diecezją, mając na uwadze tę trudną sytuację, wysłał mnie tam, wraz z poleceniem kończenia nauki w sposób prywatny. Po zakończeniu każdego kursu zdawałem egzamin przed komisją w Vic, która sprawdzała moją pilność w nauce i zdobytą wiedzę. W ten sposób całe moje życie skupia-

ło się na studiach i działalności duszpasterskiej.

W tej formie w mojej miejscowości rozpocząłem działalność parafialną. Był to początek trudny i odpowiedzialny. Były to cztery lata intensywnej pracy, pełne nowych i wielkich doświadczeń.

W ŚRODOWISKU WOJNY

W czerwcu 1835 roku Barcelona zobaczyła, w jaki sposób dokonuje się największego barbarzyństwa. Tylko w czasie jednej nocy zaatakowano, splądrowano i okradziono dużą liczbę klasztorów. Życie, kościoły, biblioteki, archiwa... wszystko było zagrożone lub niszczone przez rewolucyjną zawieruchę.

Również karliści byli prześladowani i mordowani, co spowodowało odwet i jeszcze większe krwawe represje.

Na polach, w górach, w samych osiedlach, zwalczano i zaciekle prześladowano przeciwników. Nawet krew przelana w czasie tych lat nie uspokoiła wzburzonej sytuacji.

Dość szybko sama rewolucja rozprzestrzeniła się na szczyty władzy, włączając do szczytów okrutne prześladowania religijne.

Wszystko to sprowadziło się do zatwierdzenia przez Kortezy w 1835 roku dekretu o zniesieniu zakonów w Hiszpanii.

PRZEŚLADOWANIE RELIGIJNE

Dekret o zniesieniu zakonów rozpoczął się wyrzuceniem jezuitów i zamknięciem wszystkich klasztorów i domów zakonnych, które miały mniej niż dwunastu członków.

Na początku roku 1836 wystawiono na sprzedaż dobra zakonne. W marcu tego samego roku zamknięto ostatecznie wszystkie klasztory braci zakonnych i zmniejszono znacznie liczbę klasztorów zakonnic.

Również księża diecezjalni odczuwali podobne sytuacje. Połowa z diecezji była bez biskupów, którzy zostali uwięzieni albo wyrzuceni z kraju, a seminarzyści, z powodu zakazu wyświęcania księży, musieli wędrować do Francji lub Włoch.

Inną formą prześladowania było wyłączenie Kościoła z posiadłości i majątku, co utrudniało w znaczny sposób utrzymanie kleru.

To wszystko spowodowało chaos w całym kraju, a szczególnie w strefach przygranicznych, gdzie miały miejsce największe starcia.

Nie ulega wątpliwości, że była to okrutna walka, która na przestrzeni siedmiu lat spustoszyła ziemię i zniszczyła majątki, a co najsmutniejsze, pozbawiała ludzi życia, podzieliła rodziny, ludność i całe regiony kraju, pozostawiając po sobie zasiew nienawiści, zemsty, spustoszenia i śmierci. Katalonia stanowiła w tej wojnie smutny scenariusz.

BYŁ TO TRUDNY POCZĄTEK

Wszystkie wyżej opisane wydarzenia przeżywałem bardzo głęboko. To prześladowanie rozpętało się w niespełna miesiąc po moich święceniach kapłańskich. Seminarium w Vic zostało zamienione w koszary zajęte przez tych, którzy podjudzali karlistów i w magazyn zaopatrzenia dla zwolenników rządu.

W tamtym czasie życie było niezmiernie trudne. Od samego początku starałem się jednak zachować neutralność polityczną i partyjną. Oczywiście, miałem swoje przekonania i sympatie polityczne, ale zawsze uważałem, że kapłan jest dla wszystkich i dlatego nie powinien przynależać do partii, ale starać się o zbawienie każdego człowieka.

W czasie czteroletniego pobytu w Sallent moje relacje z władzami wojskowymi i cywilnymi opierały się na rozwadze, poszanowaniu i poprawności.

Niemniej, pomimo takiej postawy osobistej, nie brakowało sytuacji uciążliwych, które utrudniały działalność duszpasterską.

Pośród tego wszystkiego nigdy nie marnotrawiłem czasu, jaki miałem poświęcać nauce, modlitwie i ćwiczeniom duchowym, będącym dla mnie każdego roku czasem refleksji i nawrócenia.

Moja działalność w duszpasterstwie skupiała się na posłudze chorym i ubogim, na głoszeniu słowa Bożego, prowadzeniu katechizacji i udzielaniu sakramentów. W okresie wielkiego postu prosiłem o pomoc innych księży z sąsiednich miejscowości.

Pomimo tych wszystkich trudności i uciążliwości zawsze pracowałem z pełnym poświęceniem i przekonaniem, że wszystko musi się udać.

Wśród wierzącej ludności sytuacja również nie była łatwa. Uczucia ludzkie stępiały się i środowisko stopniowo się dechrystianizowało.

Wraz ze zniesieniem zakonów problemy jeszcze bardziej się zaostrzyły. Znikły bowiem dwa wielkie ośrodki odnowy duchowej: świadectwo

życia konsekrowanego i głoszenie Ewangelii. Głoszenie słowa Bożego, które w wielkiej mierze spoczywało w rękach zakonników, pozostało teraz bez obsługi.

Ta przykra sytuacja tkwiła we mnie jak kolec, który dotkliwie uwierał.

POŚLANY JAK PROROCY

W czasie tego okresu przemyślałem ciągle, co i w jaki sposób powinienem czynić, aby ocalić ludzi, moich braci. Błagałem o pomoc Jezusa i Maryję i ofiarowałem się tej sprawie. Bardzo mi w tym pomagały wszystkie moje lektury, a w szczególności żywoty świętych. Jednak to, co najbardziej mnie wzruszało i przynaglało było czytanie i rozważanie biblijne. Napotykałem fragmenty Pisma św., które tak bardzo wewnętrznie mnie poruszały, że zdawały się być skierowane osobiście do mnie.

Było ich wiele, ale najbardziej zapisały się w moim sercu następujące słowa:

*„Ty, którego ująłem aż na krańcach ziemi
i powołałem z odległych ustroni,
ty, któremu rzekłem: Sługą moim jesteś,
ciebie wybrałem, a nie odrzuciłem” (Iz 41,9).*

Poprzez te słowa zrozumiałem, że moje powołanie było darem od Boga, owocem Jego miłosierdzia i nie zależało od żadnej mojej zasługi.

*„Nie bój się, bo Ja jestem z tobą!
Nie trwóż się, bom Ja Bogiem twoim!
Ja cię umacniam. Ja cię też wspomagam
i podtrzymuję zwycięską prawicą” (Iz 41, 10).*

Poznałem wówczas, jak Bóg mnie wybawiał ze wszystkich kłopotliwych sytuacji, w jakich się znalazłem.

*„Oto będą zawstydzeni i okryją się hańbą
wszyscy, którzy przeciw tobie się srożą.
Zniweczeni zostaną i zginą ci,
którzy cię zwalczają.(...)
Albowiem Ja, Jahwe,
jestem Bogiem twoim!
Ująłem mocno twoją prawicę
i powiadam ci:
Nie lękaj się! Ja cię wspomagam!”
(Iz 41,11-13).*

Bóg dał mi poznać, że moje zadanie nie będzie łatwe. Będę miał do czynienia z wielkimi przeciwnikami. Będę musiał cierpieć prześladowanie z ich strony, ale Pan będzie moją siłą i moim ocaleniem.

*„Oto uczynię z ciebie jakby wozy młocarskie,
najeżone nowymi zębami.
Góry będziesz młócił i kruszył
i ścierał pagórki na plewy” (Iz 41,15).*

Tymi słowy dał mi poznać skutki nauczania i zleconej mi przez Niego misji.

*„Będziesz je przewiewał, a wiatr je uniesie
i wichler gwałtowny rozproszy!
A ty radować się będziesz w Bogu twoim,
będziesz się chlubił Świętym Izraela”
(Iz 41,16).*

Będę musiał stawić czoła wszelkiemu złu. Moja radość będzie polegała na przygotowaniu drogi dla Pana wśród tego wszystkiego, co stawia sprzeciw Jego obecności na ziemi.

*„Biedacy i nędzarze poszukują wody,
ale jej nie ma!
Ich język usycha z pragnienia,
Ja Jahwe, Ja ich wysłucham,
Ja Bóg Izraela, ich nie opuszczę!
Na gołych wzgórzach otworzę strumienie,
pośrodku dolin - krynice!
Pustynię w jeziora zamienię,
a ziemię spieczoną - w wód zdroje”
(Iz 41,17-18).*

Pan dał mi poznać, że mam nauczać nie tylko grzeszników, ale także ludzi prostych ze wsi i miasteczek. Powinienem nieść słowo Boże katechizując, rozmawiając z ludźmi, przemawiając...

Podobne uczucia miałem przy czytaniu proroka Ezechiela, w szczególności czytając rozdział trzeci:

„Synu człowieczy, ustanowiłem cię stróżem Domu Izraela. Skoro usłyszysz słowo z ust moich, masz obowiązek przestrzec ich w moim imieniu”

(Ez 3,17)

Pan pozwolił mi w szczególny sposób zrozumieć słowa skierowane do proroka Izajasza:

*„Duch Pana, nade mną,
bo oto namaścił mnie i posłał mię,
bym głosił radosną nowinę ubogim,
łagodził ból tych, których serca złamane...”*

(Iz 61,1)

W innych fragmentach Biblii słyszałem głos Pana zapraszający i wzywający mnie do poświęcenia się głoszeniu słowa Bożego. To samo zdarzało się podczas modlitwy.

Z RZYMU W SZEROKI ŚWIAT

W obliczu tej potrzeby, jaką poprzednio odczuwałem, rozważałem i zachodziłem w głowę,

w jaki sposób mógłbym się bardziej poświęcić kaznodziejstwu. Czas, jakim dysponowałem na parafii był ograniczony i zajęcia powszednie pochłaniały wszystko.

Moje powołanie misyjne jawiło się coraz bardziej wyraźnie, niemniej jeszcze wiele musiałem sobie wyjaśnić i znaleźć sposób jego realizacji.

Podjąłem pewne kroki, które okazały się chybione. Chciałem zgromadzić grupę księży celem poświęcenia się głoszeniu misji, ale przekonano mnie, że sytuacja wojny domowej czyniła ten projekt niewykonalnym.

Czułem powołanie do głoszenia słowa Bożego i nie mogąc tego realizować w mojej ojczyźnie, podjąłem stanowczą decyzję, która miałaby zaważyć na moim życiu: postanowiłem zostawić parafię i zamierzałem ofiarować się Papieżowi, aby mnie wysłał tam, gdzie istnieje największa potrzeba, w jakąkolwiek stronę świata.

W tym celu chciałem udać się do Rzymu i oddać się do dyspozycji Kongregacji Krzewienia Wiary. Tam najlepiej znają potrzeby całego świata. Byłem gotów pójść dokądkolwiek mnie pošlą. Powstało wiele trudności i sprzeciwów, jakie musiałem pokonać, tak ze strony moich ro-

daków, jak i ze strony Księdza Biskupa. Nie było łatwo pozbyć się parafii, ale z pomocą Bożą to osiągnąłem. Był to czerwiec 1839 roku.

Z sercem pełnym wyobrażeń o misjach rozpocząłem podróż do Rzymu. Nie była to zwykła podróż w tamtej niebezpiecznej sytuacji. Musiałem przebyć pieszo drogę aż do Marsylii we Francji. Pokonałem trudy tak długiej wędrówki, uniknąwszy na szczęście napadów ze strony rabusiów i bandytów. W Marsylii mogłem zabrać się na statek płynący się do Rzymu. W czasie podróży rozpętała się silna burza i mało brakowało do zatonięcia statku. Niemniej pośród tylu przeciwności czułem się szczęśliwy myśląc o Jezusie, który w swoich wędrówkach, głosząc Królestwo Boże, przeżywał podobne sytuacje.

Moje postanowienie było mocne i zdecydowane, a ręka Pana wyraźnie była ze mną. W dniu Najświętszej Maryi Panny Różańcowej przybyłem wreszcie do Rzymu.

W TOWARZYSTWIE JEZUSOWYM

Moje upragnione spotkanie z Kardynałem Kongregacji do Spraw Ewangelizacji Narodów nie mogło się spełnić w momencie przybycia do

Rzymu. To skłoniło mnie do wykorzystania tego czasu na ćwiczenia duchowne w domu jezuitów. Tam Pan Jezus miał przygotowaną dla mnie niespodziankę.

Poznawszy moje intencje udania pracy misyjnej w jakiegokolwiek części świata, dano mi poznać, że to może w sposób najbardziej skuteczny spełnić się poprzez Towarzystwo Jezusowe. Będąc jezuitą miałbym sposobność zrealizowania mojego powołania razem z tak wieloma jezuitami, którzy odczuwali tego samego ducha i byli obecni w całym świecie wzdłuż i wszerz.

Ta idea tak mnie rozpałała, że w pierwszych dniach listopada 1839 roku wstąpiłem do nowicjatu i tak z dnia na dzień zostałem jezuitą.

Moje życie w Towarzystwie Jezusowym było krótkie, ale intensywne. Po upływie czterech miesięcy pobytu w nowicjacie poczułem tak niezwykły ból w prawej nodze, że myślano, iż pozostanę kaleką. Interpretowaliśmy tę przeciwność jako znak woli Bożej, która przewidywała dla mnie inne miejsce. W swoim czasie mogłem poznać jak w rzeczywistości prawdziwie boską inspirację zawierała opinia Ojca Generała Jezuitów, który natychmiast po wysłuchaniu mnie,

bez chwili wahania powiedział: „*Jest wolą Bożą, aby ksiądz udał się szybko do Hiszpanii. Proszę się nie bać. Odwagi!*”.

To doświadczenie pozostawiło we mnie głębokie ślady, ponieważ to, czego się tam nauczyłem bardzo posłużyło mi później w pracy apostołskiej i misyjnej. Przyswoiłem sobie sposób udzielania i prowadzenia ćwiczeń duchowych według św. Ignacego Loyoli, formy wygłaszania kazań, prowadzenia katechizacji i spowiedania wiernych w sposób bardziej skuteczny i owocny. Oprócz tego zrozumiałem uniwersalny charakter Kościoła i mojego powołania, które nie mogły ograniczać się do przestrzeni tylko jednego narodu lub regionu. Zrozumiałem również wielką wartość życia wspólnotowego dla większej skuteczności apostołskiej. Żyjąc tam, nauczyłem się wielu spraw, które w swoim czasie były dla mnie bardzo użyteczne.

Sądzę, że ta podróż do Rzymu, podjęta w dobrej wierze, posłużyła mi do wzrostu i pogłębienia przeżywania mojego powołania apostołskiego.

PROBOSZCZ, LEKARZ I MISJONARZ

W połowie marca 1840 roku wyruszyłem z Rzymu z powrotem do Katalonii. Dnia 13 maja znalazłem się w Viladrau (Gerona) jako mianowany zarządca parafii. Tam też wyleczyłem się z choroby. Viladrau było to miasteczko pozostawione łasce Opatrzności. Wojna domowa spowodowała wielką emigracją z tego miasteczka. Pozostała tylko ludność najuboższa.

Starłem się służyć tej parafii w sposób najlepszy jak tylko potrafiłem. Niemniej moja posługa wychodziła poza obowiązki duszpasterskie. Ponieważ w miejscowości nie było lekarza, zająłem się także troską o zdrowie fizyczne moich parafian. Stosowałem różnego rodzaju lekarstwa: zioła i inne preparaty farmaceutyczne, które znałem lub poznawałem w zależności od przypadku. Rozeszła się wieść po całej okolicy, że leczyłem i przybywali do mnie chorzy z różnych miejscowości szukając lekarstwa na swoje choroby.

W tej parafii rozpocząłem też misje parafialne, które następnie rozszerzyłem na inne okoliczne miejscowości. Ponieważ w Viladrau przebywał też inny kapłan, w czasie mojej nie-

obecności obsługiwał potrzeby parafian. To było dla mnie bardzo korzystne, gdyż bardzo mi ułatwiło pierwsze misjonarskie podróże.

Jednakże ludność z Viladrau nie chciała, abym ich opuszczał. Chcieli mnie mieć stale u siebie, jako proboszcza i lekarza. Nie byli zadowoleni, gdy udawałem się z kazaniami do innych miejscowości, ponieważ wtedy czuli się sami i opuszczeni.

Gdy powracałem z jakiejś misji, przychodzili do mnie i lamentowali z powodu czasu mojej nieobecności. Na tysiące sposobów zaklinali mnie i prosili, abym zaprzestał opuszczania miejscowości w celu głoszenia kazań gdzie indziej.

Ta sytuacja sprawiła, że postanowiłem ostatecznie odpowiedzieć mojemu misyjnemu powołaniu. Nie chciałem, aby ktokolwiek cierpiał z mego powodu, ale też nie mogłem się zgodzić, aby ktoś stawał na drodze mego powołania misyjnego, które tak jasno wskazywał mi Pan Jezus.

Biorąc pod uwagę to wszystko, poprosiłem Księdza Biskupa, aby mnie zwolnił z obowiązków parafialnych, a przede wszystkim, aby miał mnie w każdej chwili do dyspozycji, celem posłania do głoszenia kazań gdziekolwiek on zechce.

Ksiądz Biskup zrozumiał doskonale moje racje i uwolnił mnie z obowiązków proboszcza.

Później, biorąc kilka dni na odpoczynek w Barcelonie, przybyłem do Vic dnia 1 lutego 1841 roku. Odtąd Vic będzie przez wiele lat stanowiło bazę wszystkich moich prac misyjnych. Rozpocząłem, bez wątpienia, zasadnicze i definitywne wprowadzenie w praktykę moich aspiracji i realizowanie mojego powołania jako Misjonarza Apostolskiego.

III.

MISJONARZ APOSTOLSKI

MISJONARZ PODOBNIENIE JAK PAN JEZUS:
PELEN MIŁOSIERDZIA

Wreszcie mogłem naśladować Pana Jezusa, wędrowca przemierzającego drogi Galilei. Tego Pana Jezusa, który nie miał miejsca, gdzie mógłby odpocząć, zaś Jego pokarmem było wykonywanie woli Ojca, który Go posłał.

Misjonarz jest jak Apostołowie. Jak św. Dominik Guzmán, jak św. Jan z Ávila. Jak Wincenty a Paulo, św. Alfons Liguori lub bł. Diego z Kadyksu. Czuję się utożsamiony z tym powołaniem.

Rozumiem, że Misjonarz Apostolski powinien zawsze czuć się przynaglany troską o zbawienie ludzi. A to z prostej racji: misjonarz jest, a raczej powinien być, człowiekiem pełnym miłosierdzia. Misjonarza charakteryzuje forma żarliwej miłości.

Gdy brakuje miłości u misjonarza, wszystkie jego przymioty są całkowicie bezużyteczne. Jeśli jednak ten misjonarz wraz ze swoimi przymiotami potrafi prawdziwie miłować, to posiada wszystko. Praktyka mnie nauczyła, że najlepszymi kaznodziejami są ci, którzy najbardziej umieją miłować.

Ta miłość misjonarza musi stać się ogniem i jego pasją. Miłość Chrystusowa przenika go i przemienia w drugiego Chrystusa, a jednocześnie staje się impulsem do ewangelizowania ludzi.

Ogień, jaki zstąpił na Apostołów w dniu Pięćdziesiątnicy i przemienił ich w wysłanników Dobrej Nowiny jest tym ogniem, który czyni z misjonarza człowieka płonącego z miłości i zapala do miłości tam, gdziekolwiek się znajdzie.

Ta serdeczna gorliwość o zbawienie ludzi będzie także energią pobudzającą do czynu. U misjonarza konkretną formą miłości Boga jest praca i cierpienie dla zbawienia wszystkich ludzi.

Miłosierdzie jest życiem Ducha Świętego, które napędza misjonarza i które przejawia się w miłosierdziu dla bliźniego. Gorliwość o zbawienie ludzi jest najprostszym sposobem uczestnictwa w duchu samego Jezusa Chrystusa. Takim chciałem być. Tak chciałem żyć.

MISJONARZ PODOBNIENIE JAK PAN JEZUS:

WYŚLANY PRZEZ OJCA

Z swej strony czułem, że miłość Chrystusowa mnie przynagla. Czułem, że Duch Pański jest we mnie, w moich misjonarskich pragnie-

niach. Czułem, że ten Duch mnie posyłał i przede mną przemawiał.

Utożsamiałem się także z powołaniem misyjnym, ponieważ odczuwałem potrzebę bycia posłanym, a nie mogłem być misjonarzem bez tego posłania. Duch Święty tworzy tę wewnętrzną gotowość u człowieka, aby Kościół mógł go posłać.

Byłem przekonany o konieczności tego posłania skierowanego do misjonarza, aby mógł on przynosić owoce. Do tego wniosku doszedłem obserwując jak zostali wysłani przez Boga wszyscy prorocy Starego Przymierza. Sam nasz Pan Jezus Chrystus był także wysłanym przez Ojca, a Jezus Chrystus wysyłał Apostołów.

Wiedziałem od początku, jak wielkie znaczenie dla mnie ma to wysłanie i dlatego prosiłem, aby to Ksiądz Biskup wysyłał mnie do głoszenia słowa Bożego i wskazywał mi miejsca, gdzie mam się udać. To widziałem bardzo jasno od samego początku. Polecenie Księdza Biskupa było dla mnie jak polecenie od samego Boga. Dlatego zawsze byłem posłuszny i chętny w jego wypełnianiu. Nie udawałem się nigdzie, gdzie nie byłbym posłanym przez Biskupa.

Tego kryterium przestrzegałem zawsze w ciągu całego mojego misjonarskiego życia. Rozumiem misję ewangelizacyjną, jako zawsze połączoną z posłuszeństwem, z posłuszeństwem synowskim i apostołskim, podobnie jak u Pana Jezusa. W tym tkwi jego znaczenie, a zarazem konieczność. Uważam, że posłuszeństwo jest nieodzownym warunkiem, aby być misjonarzem.

MISJONARZ, PODOBNIK JAK PAN JEZUS:
PROWADZI PRZYKŁADNE ŻYCIE

Inną racją, dzięki której zawsze utożsamiałem się z powołaniem misyjnym było to, że zawsze myślałem, iż ten, kto poświęca się pracy apostołskiej, powinien żyć prawdziwie po apostołsku. Profetyzm i ewangelizacja warunkują sposób i styl życia proroka i apostoła.

Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że życie apostołskie pochodzi z powołania, z powołania szczególnego, któremu musi odpowiadać całkowita wierność Ewangelii, poprzez pójście w ślady Chrystusa ewangelizującego. Dlatego myślę, że Misjonarz Apostolski musi być żywym przykładem wszystkich cnót i sam musi być uosobieniem cnót.

Podobnie jak to czynił Jezus Chrystus, również misjonarz musi najpierw być i czynić, aby potem mógł nauczać. Misjonarz, który temu nie odpowiada, i nie stara się żyć zgodnie z tym, czego naucza, można powiedzieć bez obawy pomyłki, że jest komediantem.

Misjonarz musi być jednocześnie prorokiem i świadkiem. Namaszczony i posłany, aby głosić słowo Boże, sam musi się nawrócić i przemienić swoje życie w słowo życia i zbawienia. Biorąc pod uwagę te wszystkie racje, zawsze chciałem i starałem się prowadzić życie przykładowe i o to prosiłem pozostałych misjonarzy. Świadczenie własnego życia jest znakomitym środkiem ewangelizacji dzisiaj i zawsze, i powinno jaśnieć przede wszystkim w praktykowaniu ubóstwa, podobnie jak to czynili apostołowie.

MÓJ WŁASNY STYL MISYJNY

Dnia 9 czerwca 1841 roku otrzymałem tytuł *Misjonarza Apostolskiego*, o jaki prosiłem Stolicę Apostolską.

Dla mnie ten tytuł nie stanowił czegoś honorowego lub czysto legalistycznego. Przede wszystkim był potwierdzeniem tego, co przeży-

wałem wewnątrznie. Ponad wszystko nadawałem mu znaczenie teologiczne i ewangeliczne, to znaczy, że tytuł ten oznaczał mój własny styl życia: żyć podobnie jak Pan Jezus z apostołami, w ubóstwie i braterstwie współdzielonym z drugimi.

Na marginesie innych znaczeń historycznych czy legalistycznych, dla mnie nazwa *misjonarz* oznacza ewangelizację, głoszenie Słowa Bożego, podobnie jak to czynili prorocy, raczej przy boku struktur duszpasterskich i sakramentalnych. Odczuwałem to zawsze, jako coś odnoszącego się do samego Chrystusa, Chrystusa namaszczonego i posłanego, Głowy wszystkich misjonarzy.

Dlatego czułem się bardziej powołanym do kształtowania się według Jego wzoru, do życia Jego życiem wewnętrznym, do naśladowania Go, do dawania świadectwa o Nim aż do oddania życia, do przepowiadania Jego Orędzia o zbawieniu.

W tej perspektywie pojmuję wszystkie cechy i postawy misyjne Jezusa ewangelizującego. Moją ulubioną postawą jest kontemplacja i usiłowanie naśladowania w Jego życiu publicznym, w przepowiadaniu, w przechodzeniu drogi z jednej miejscowości do drugiej, w Jego ustawicznej modli-

twie, w pracy pocie czoła i utrudzeniu, w trosce i współczuciu dla najbardziej potrzebujących.

Termin *apostolski* rozumiem zawsze w odniesieniu do Apostołów, którzy zostali powołani, aby dzielić z Panem Jezusem przyjaźń i być blisko Niego, a poza tym zostali posłani, aby nieść Dobrą Nowinę aż po krańce ziemi.

Odnoszę tę nazwę także do stylu życia skupionym na ubóstwie, na gotowości przenoszenia się z jednego miejsca na drugie w ustawicznej wędrówce, na życiu we wspólnocie i braterstwie w służbie ewangelizacji.

PO DROGACH KATALONII

W czasie pracowitych siedmiu lat mojej działalności misyjnej w Katalonii głosiłem nauki w ponad stu pięćdziesięciu miejscowościach.

Aby wiedzieć, do jakiej miejscowości mam się udać, zawsze brałem pod uwagę kryteria wskazane przez Księdza Biskupa. Czasem obsługiwałem tego, kto pierwszy mnie zaprosił; kiedy indziej znów, biorąc pod uwagę tak wzburzoną wówczas sytuację polityczną, wędrowałem z jednego końca na drugi i w ten sposób drwiłem z możliwych prześladowców.

Wszyscy wiedzieli, że ja nie mieszałem się do polityki. Rządzący także o tym wiedzieli, ale dosięgał ich strach widząc rzesze ludzi przybywające ze wszystkich stron na moje nauki. Obawiali się oni także tego, że jakakolwiek sugestia z mojej strony mogłaby sprowokować powstanie wśród ludzi. Z tego powodu usiłowali mnie pojąć, ale im się to nie udało.

W czasie tych siedmiu lat wędrowałem z jednej miejscowości do drugiej. Zwykle wędrowałem sam. Miałem mapę Katalonii i kierowałem się według niej. Mierzyłem na niej odległości i zaznaczałem postoje. Rano maszerowałem pięć godzin i drugie pięć po południu. Czasem wędrowałem w deszczu, czasem po śniegu, a w lecie w upalnym słońcu. To był czas, który najbardziej mi doskwierał. Czasem na mych stopach tworzyły się pęcherze, które utrudniały normalny marsz.

Śnieżyce także dawały mi szanse ćwiczenia się w cierpliwości, ponieważ gdy opady były obfite i pokrywały drogi, gubiłem się niechęć i traciłem dużo czasu.

Wędrując pieszo miałem okazję przyłączania się do wieśniaków i karawan poganiaczy mułów. Wykorzystywałem sytuację, aby z nimi rozma-

wiać o sprawach Bożych i udzielać im pouczeń. Droga pokonywana z nimi stawała się dla mnie bardziej znośna.

TRUDNOŚCI I PRZEŚLADOWANIA

Cierpiałem nie tylko z powodu upałów i zima, śniegu i lodu, deszczu i wiatru. Także prześladował mnie Zły.

Raz, gdy przechodziłem, strącił na drogę wielki kamień. Pewnego razu w niedzielę po południu, w kościele pełnym ludzi, oderwał się fragment z centralnego łuku. Spadłszy na ziemię rozsypał się w drobne kawałki, ale nikogo nie zranił, pomimo że obok stali ludzie. Wszyscy bardzo się temu dziwili.

Innym razem, gdy ludzie byli najbardziej skupieni na słuchaniu kazania, wpadł do kościoła osobnik, krzycząc, że w tej miejscowości wybuchł pożar. Natychmiast zorientowałem się, że to było kłamstwo i przekazałem to zebranym.

Gdy przemawiałem na otwartej przestrzeni, Szatan często powodował burze i zawieruchy. Sam zaś z jego powodu doświadczałem różnych chorób.

Pośród tego wszystkiego było oczywiste, że Pan Jezus mnie ochraniał. Prowadził mnie po nie-

znanych drogach, chronił mnie przed rabusiami i mordercami, prowadził mnie do bezpiecznej przystani, gdy ja nawet nie zdawałem sobie sprawy, w jaki sposób to czynił.

Nieraz obiegała wśród ludzi pogłoska, że zostałem zamordowany. Miałem chwile miłe

i radosne, ale też i gorzkie, które obrzydzały mi życie; wtedy moim jedynym ratunkiem była myśl i rozmowa o niebie. To mnie pocieszało i podnosiło na duchu.

Zwykle nie unikałem cierpień, ale je przyjmowałem i miłowałem. Pragnąłem oddać życie za wiarę w Jezusa Chrystusa. Chociaż nie narażałem się lekkomyślnie na niebezpieczeństwa, sprawiało mi radość, gdy mnie wysyłano do miejsc najbardziej niebezpiecznych, ponieważ uważałem za szczęście móc oddać życie dla Chrystusa.

Moim stałym pragnieniem było umrzeć w schronisku jako biedak lub na szubienicy, jako męczennik, być zamordowanym broniąc naszej świętej wiary, pieczętując własną krwią cnoty i prawdy, które głosiłem i których nauczałem.

PRACOWAŁEM W NASTĘPUJĄCY SPOSÓB

W miejscowościach, do których udawałem się do pracy apostołskiej, nie tylko kierowałem się ogólnie do wszystkich, ale w sposób szczególny do kapłanów, młodzieży, zakonnic, chorych, zamkniętych w więzieniu.

Podczas wędrówki z jednego miejsca do drugiego rozmyślałem o mojej pracy, jaki owoc misji czy rekolekcji byłby pełniejszy i bardziej trwałe. Myśląc o tym wpadłem na pomysł, że skutecznym środkiem byłoby pozostawić na piśmie to wszystko, co im przekazywałem w słowach. To była racja, która skłoniła mnie do pisania książek i broszurek przeznaczonych dla różnych osób, pod jednym tytułem *Przestrogi...* Aby skuteczniej propagować te teksty, zdecydowałem się założyć Księgarnię Religijną.

Styl pracy misyjnej, jaki wprowadziłem od samego początku był stylem Pana Jezusa z Ewangelii: prostota i jasność. Posługiwałem się porównaniami, podobieństwami i przykładami, krótkimi opowiadaniem z historii. Większość przykładów czerpałem z Biblii. Doszedłem do wniosku, że to, co najbardziej podobało się wszystkim ludziom,

uczonym i prostym, były porównania ze świata przyrody, ze świata roślinnego i zwierzęcego.

W tej twórczej i pasjonującej pracy misyjnej nigdy nie szukałem własnego interesu osobistego. Nie pociągały mnie pieniądze, bowiem nie chcę pieniędzy od nikogo. Nie pociągała mnie przyjemność, ponieważ jakaż przyjemność może istnieć pośród tych ustawicznych uciążliwości, trudów i wyrzeczeń. Nie pociągała mnie też sława, gdyż często to, co do mnie docierało, to były wyzwiska i kalumnie. Pragnąłem rzeczywiście i jedynie większej chwały Bożej i zbawienia ludzi.

Z całą szczerością mogę powiedzieć, że gdy myślę o zbawieniu ludzi, nie zaznaję spoczynku ani pociechy: moje serce zaraz pobudza mnie do drogi. Miłość przynagla mnie i woła, abym wędrował z jednej miejscowości do drugiej.

Zawsze troszczyłem się o to, aby czynić szczęśliwymi innych ludzi, ukazywać im sens życia. Jedynie tym się przejmowałem i ustawicznie tym się zajmowałem.

MARYJA, MATKA I MISTRZYNI

Ani w moim życiu osobistym, ani w moich misyjnych podróżach nigdy nie zapominałem o ma-

cierzyńskiej postaci Maryi. Ona cała jest sercem i cała miłością. Zawsze patrzyłem na Nią jako na Matkę posłanego Syna i to czyniło Ją moją Matką, Matką Kościoła i Matką wszystkich ludzi.

Moja więź z Maryją zawsze była zażyła, bliska i rodzinna, pełna ufności. Czuję się ukształtowanym i uformowanym w kuźni Jej Miłości macierzyńskiej, w Jej Sercu pełnym czułości i miłości. Ona zawsze jest obecna w moim życiu i w moim misjonarskim przepowiadaniu.

Dla mnie Maryja, Jej Niepokalane Serce, zawsze było i jest mocą, wskazaniem, pociechą, wzorem, mistrzynią ponad wszystko zaraz po Panu Jezusie.

Zawsze polecałem Jej każdą rozpoczynaną misję. Oddawałem się w Jej ręce, aby posłużyła się mną z całą mocą swych ramion. Maryja dla mnie zawsze była Matką, zawsze Sercem.

WSZYSTKIE MOŻLIWE ŚRODKI

Zrozumiałem od samego początku, że dla większej skuteczności w zadaniach ewangelizacyjnych i misyjnych muszę posługiwać się wszystkimi możliwymi środkami, jakie znajdują się w moim zasięgu. Powiem tylko o najważniejszych:

Modlitwa. Jest to środek najważniejszy ze wszystkich. Modliłem się sam i prosiłem innych, aby modlili się o owoce misyjnego nauczania.

Katechizacja dzieci i dorosłych. Wiedziałem, że dzieci powinny mieć odpowiednią formację religijną, a oprócz tego, był to znakomity sposób, aby dotrzeć z łatwością do rodziców. Jeśli chodzi o ludzi dorosłych był to sposób, aby wyrwać ich z ignorancji religijnej i zaproponować im formację chrześcijańską.

Rekolekcje. Zarówno u księży, jak i u reszty ludzi przynoszą więcej trwałych nawróceń niż wygłaszane kazania.

Kazania. Jest to środek stosowany przez cały czas. Przychodziło wielu ludzi, aby słuchać Słowa Bożego. W czasie dłuższym niż godzina starałem się pobudzić ludzi do odnowy życia chrześcijańskiego i nawrócenia serca.

Misje parafialne. Ta nadzwyczajna akcja ewangelizacyjna trwała wiele dni i docierała do wszystkich wiernych w parafii. Wiele miejscowości doświadczyło tych przeżyć.

Książki i ulotki. Wiedziałem, że nie wszyscy mogą lub pragną słuchać Słowa Bożego w formie kazań, liturgii czy katechezy... Pomyślałem,

że Słowo Boże powinno jednak dotrzeć do tych ludzi. Nie było nic lepszego, niż małe książeczki czy ulotki, które sam pisałem.

Rozmowy rodzinne. Korzystałem z jakiegokolwiek okazji, momentu czy sytuacji, aby rozmawiać o miłości Bożej. W ten sposób unikało się prowadzenia rozmów absurdalnych czy powierzchniowych i wszyscy wychodzili zadowoleni i zachwyceni z tej prostej praktyki.

Przedmioty kultu religijnego. Zawsze je rozpowszechniałem w formie prezentów nie bacząc na koszty. Wszystko to uważam za przypomnienie i zachętę wspomagającą w chrześcijańskich przeżyciach.

ŚWIADECTWO MEGO WŁASNEGO ŻYCIA

Byłem przekonany, że świadectwo mego życia było drugim zasadniczym i skutecznym środkiem. Dlatego starałem się żyć zgodnie z tym, o czym nauczałem.

Postanowiłem ćwiczyć się w praktykowaniu następujących cnót:

Pokora. Za pośrednictwem tej cnoty kształtowałem i modelowałem moje życie zgodnie z tym, co polecał mi Pan Jezus. Moja postawa

wywodzi się ze świadomości człowieka, który wie, że nie może się wynosić ponad innych i wychwalać, ponieważ sam z siebie jest niczym, nic nie posiada i nic nie może, nic nie czyni i nic nie znaczy. Uważam siebie za narzędzie w rękę rzemieślnika. To Bóg, nasz Pan, działa, a działa przez mnie. Ja jestem, a raczej staram się być dobrym instrumentem w Jego rękę. Cnotę pokory uważam za fundament wszystkich innych cnot.

Ubóstwo. W czasie, w którym przyszło mi żyć, adorowano pieniądź, jako jedynego, najważniejszego i najpotężniejszego bożka. To sprzyjało krzewieniu się egoizmu i chciwości. Zrozumiałem, że najlepszym lekarstwem na te choroby było ubóstwo. Nic nie posiadałem i nic nie chciałem posiadać. Całym moim dobytkiem było zawiniątko zawierające Biblię, brewiarz i jedną zmianę bielizny. Nic więcej. Zawsze pamiętałem o Jezusie, który urodził się, żył i umarł ubogim i polecał ubóstwo wszystkim, którzy chcieli iść za Nim.

Łagodność. Uważam ją za owoc miłości Bożej w nas. Traktowałem wszystkich z delikatnością i słodyczą. Wszelkie prace i cierpienia pragnąłem przeżywać w spokoju wewnętrznym i z wielką

cierpliwością. Bóg chciał, abym przeciwstawiał się złu, ale polecał mi wielkoduszne i najdalej idące przebaczenie. Staralem się zawsze działać stanowczo, ale równocześnie z łagodnością, z mocą, lecz z wielką serdecznością. Pamiętałem, że więcej much przyciąga kropla miodu niż beczka octu.

Skromność. Jest to cnota pozwalająca realizować działalność w sposób jej właściwy. Nie miałem innego wzoru niż Pan Jezus. Dlatego zawsze pytałem siebie, w jaki sposób działał Pan Jezus lub w jaki sposób by działał, gdyby znalazł się na moim miejscu. To przekonanie i zobowiązanie do naśladowania Pana Jezusa przypominały mi słowa św. Pawła Apostoła: „Bądźcie naśladowcami moimi tak, jak ja jestem naśladowcą Chrystusa”.

Umartwienie. Doświadczenie mi mówi, że ludzie mają złe wyobrażenie o misjonarzu, który nie panuje nad sobą, nie kontroluje swych upodobań i kaprysów. Kto nie potrafi sprzeciwić się swoim gustom, nie może być dobrym świadkiem Chrystusa.

Zrozumiałem, że umartwienie powinno uzewewnętrznić się w moim sposobie mówienia, patrzenia, ubierania się, spożywania pokarmów,

w wymaganiu od siebie samego, czyli we wszystkim. Bycie misjonarzem wymaga prezentowania się wobec ludzi i spraw w sposób świadczący o wyborze tego, co jest ważne, na ukazywaniu sensu życia i sensu istnienia wszystkich rzeczy.

Bez wątpienia, moją pasją była chęć naśladowania cnót Pana Jezusa Misjonarza. Jak traktował ludzi, jak się zachowywał, jak potrafił przyjaźnie zbliżyć się do dzieci, do ubogich, do chorych i do grzeszników. Tylko z Bożą pomocą mogłem czynić postępy na tej drodze.

ŚWIECCY EWANGELIZATORZY

W taki sposób toczą się lata apostołowania po drogach Katalonii. Wspominam ze wzruszeniem i radością tyle wdzięcznych miejscowości, posiadłości, a nade wszystko ludzi, których miałem szczęście poznać i dotrzeć do nich ze słowem Bożym, z Dobrą Nowiną Ewangelii. Jest to etap, który zawsze wspominam z nostalgią i wzruszeniem.

To „iść” i „powracać” z sercem przepelnionym marzeniami misyjnymi, niosąc zawiniątko z najpotrzebniejszymi rzeczami, najlepiej określa moje życie i moją osobę. Jest to bez wątpienia najlepszy zewnętrzny wyraz mojego misyjnego

powołania. Czułem się zadowolony i zrealizowany.

We wszystkich miejscowościach i parafiach gdzie przebywałem dłużej, głosząc misje parafialne, nowenny, itp., starałem się pozostawić po sobie zorganizowane grupy świeckich zapisanych do różnych istniejących bractw i stowarzyszeń religijnych. Proponowałem także *Bractwo Serca Maryi* oraz *Bractwo Nauki Chrześcijańskiej*. Nadawałem im znaczenie wybitnie misyjne i ewangelizacyjne. Widziałem jasno, że to bardzo ważne zadanie Kościoła nie należało wyłącznie do kapłanów, ale ludzie świeccy powinni wziąć na siebie współodpowiedzialność za tę wspianą misję i móc ją prowadzić tam, gdzie się toczyło ich życie: w rodzinie, w pracy, w biznesie, w ekonomii, w mieście i na wsi. Była to uporczywa idea, którą chciałem przekazać wszystkim, którzy mnie słuchali. Setki grup ludzi świeckich z tym ewangelizacyjnym usposobieniem rozpoczęło marsz w wielu miejscowościach Katalonii.

ZAKONNICE W SWOICH DOMACH

W moich podróżach apostołskich poznałem wiele młodych dziewcząt z powołaniem do życia

zakonnego. Miały one jednak wielkie trudności, aby realizować te pragnienia, czy to z powodu wydanego przez Rząd zakazu przyjmowania nowych profesek, czy też z powodu trudnych sytuacji rodzinnych. W obliczu tego wszystkiego pomyślałem, że musi być jakaś droga wyjścia z tego problemu. Skonsultowałem to z dwoma zaprzyjaźnionymi kapłanami, ale oni uważali, że mój projekt nie może być wykonalny. Sam musiałem zdecydować i w 1850 roku napisałem małą książeczkę *Zakonnice w swoich domach lub Córkę Serca Maryi*. Ideał, jaki przedstawiłem, polegał na możliwości prowadzenia życia konsekrowanego pośród świata, we własnych domach rodzinnych, pośród zajęć i prac codziennych, mając za klasztor Serce Maryi. Pragnąłem, aby wiele kobiet mogło przeżywać swoje powołanie, naśladując Chrystusa ubogiego, dziewiczego i posłusznego wewnątrz istniejącego społeczeństwa celem jego transformacji od środka. Był to także inny sposób głoszenia Dobrej Nowiny w codziennym życiu. Moja książeczka nie uzyskała jednak zbyt wielkiego poparcia i pozostała jako marzenie, które oby się zrealizowało w Kościele z nastaniem lepszych czasów.

NA WYSPACH KANARYJSKICH

W tym czasie powstał problem, który z Bożą pomocą, zmienił się w inną misyjną możliwość.

W sierpniu 1847 roku w wielu miejscowościach Katalonii uformowały się pikiety żołnierzy karlistowskich, które zastraszały miejscową ludność cywilną. Wydały one oświadczenie w dziennikach, że nic nie uczynią bez zezwolenia Księdza Klareta. Zrobili to celem skompromitowania mojej osoby i przeszkodzenia w dalszym moim nauczaniu z ambony...

Gdy sprawy wzięły już taki obrót, otrzymałem zaproszenie do prowadzenia nauczania na Wyspach Kanaryjskich. Z poleceniem od Księdza Biskupa, jak to było w moim zwyczaju, rozpocząłem podróż na te Wyspy, nazwane Szczęśliwymi.

Dnia 11 marca 1848 roku przybyłem do Santa Cruz w Tenerife. W kościele Niepokalanego Poczęcia NMP mogłem głosić kazania. Dnia 14 marca przybyłem do Puerto de la Luz w Las Palmas de Gran Canaria.

Wyspy Kanaryjskie stanowiły wówczas zagubiony i zapomniany teren na wodach Atlantyku. Poczęte i zrodzone z samego wnętrza mórz,

ukazują się jako pełne polichromii i czaru: rzeki lawy, góry popiołu, strome rozpadliny, zielone doliny zarośnięte bananowcami, plaże i brzegi, osiedla z białymi i brunatnymi domami. Wszystko w niezwykle wiosennym klimacie. Wyspa Gran Canaria przeżywała jednak wówczas najczarniejszy okres w swojej historii. Jeszcze zupełnie nie minęła okropna klęska głodu, a już nadeszła epidemia żółtej febry siejąc łzy i żalobę po wszystkich zakątkach Wyspy. Ludność została zdziesiątkowana.

Ludność jednak potrafiła znieść te okropne spustoszenia z rezygnacją graniczącą z wielkim heroizmem. Brakowało wszystkiego! Nie było też księży, którzy by im pomagali w życiu. Oby nie było tych, co niektórych zgorszyli swoim życiem.

Środowisko religijne było obojętne i apatyczne. Panowała niemoralność publiczna, oszustwa, niesprawiedliwość, zabobony. Wszystko spotykało się na tej ziemi, tak bardzo gościnnej.

OJCZULEK

Moja działalność skupiała się głównie na wyspie Gran Canaria. Rozpocząłem ją głosząc reko-

lekcje dla księży i seminarzystów. Następnie rozpocząłem misje w Las Palmas, a później we wszystkich parafiach na Wyspie, którą przemierzyłem kilkakrotnie z różnych okazji. Często musiałem przemawiać na placach, ponieważ ludzie przychodzący na misje nie mieścili się w kościołach.

To, co najbardziej mnie przejmowało, to sprawa, aby móc wypowiadać wszystkich pragnących to uczynić.

Po zakończeniu misji cały lud odprowadzał mnie aż do spotkania się z tymi, którzy wyszli naprzeciw z sąsiednich miejscowości, aby mnie przyjąć. Ludzie byli pełni entuzjazmu.

To tam zaczęto mnie nazywać po przyjacielsku *Ojczulek Klaret*.

W tym okresie byłem także na wyspie Lanzarote. Były to miesiące intensywnej pracy misyjnej. Wygłaszałem kazania, słuchałem spowiedzi, uczyłem katechizmu dzieci i dorosłych, prowadziłem rekolekcje, odwiedzałem chorych, przemierzałem miejscowości i góry.

W pierwszych dniach maja 1849 roku kończyłem moją działalność na wyspach. Ksiądz Biskup chciał mi w prezencie kupić nowe odzienie, ale nie chciałem tego przyjąć. Wyniosłem stam-

tań tylko strzępy u mojej sutanny i uczucie Kanaryjczyków, którzy podbili moje serce.

ZGROMADZENIE MISJONARZY

W połowie maja już byłem w Barcelonie. Po paru dniach przybyłem do Vic. Tam postanowiłem wykończyć szczegóły, aby nadać bieg pewnemu projektowi ewangelizacyjnemu pielęgnowanemu w moim sercu i myślach od dłuższego czasu. W moich podróżach apostołskich po drogach Katalonii i Wysp Kanaryjskich zdałem sobie sprawę z potrzeb ludności odnośnie do ewangelizacji oraz braku ewangelizatorów. Rozmawiałem o tym z innymi kapłanami i razem pracowaliśmy nad różnymi koncepcjami zapobieżenia tym problemom.

Miałem już dojrzałe rozwiązanie: założyć Zgromadzenie Misjonarzy, którzy byliby i nazywaliby się Synami Niepokalanego Serca Maryi. Komentowałem z przyjaciółmi ten pomysł i wszystkim podobała się ta idea.

Chciałem, aby Zgromadzenie było całkowicie poświęcone ewangelizacji, aby było obecne we wszystkich częściach świata oraz, aby to tak ważne zadanie było prowadzone przez wspólnotę zakonną. W ten sposób mogłem spełnić swoje

marzenie, to jest głoszenie Ewangelii po całym świecie.

Ksiądz Biskup z Vic także poparł przedstawiony mu pomysł i udzielił wszelkiego poparcia. Sam udostępnił nam pomieszczenia budynku seminaryjnego, które w czasie wakacyjnym stały wolne. Poczynił również starania, aby przystosować klasztor Mercedariuszy, który rząd oddał do jego dyspozycji.

W międzyczasie porozumiałem się z kapłanami, którym Bóg, Nasz Pan, udzielił tego samego ducha, który mnie ożywił. Oto ich nazwiska: Esteban Sala, José Xifré, Domingo Fábregas, Jaime Clotet i Manuel Vilaró. Wszyscy oni byli bardziej uczeni i bardziej cnotliwi ode mnie, ale ja czułem się zadowolony i uszczęśliwiony, uważając się za ucznia i sługę ich wszystkich.

DZIŚ ROZPOCZYNA SIĘ WIELKIE DZIEŁO

Dnia 16 czerwca 1849 roku zgromadziliśmy się w pomieszczeniu seminaryjnym w Vic. O trzeciej godzinie po południu, przed rozpoczęciem rekolekcji, powiedziałem do swoich współtowarzyszy: „Dziś rozpoczyna się wielkie dzieło”. Ojciec Manuel Vilaró odpowiedział z uśmie-

chem w atmosferze świętowania: „Co możemy dokonać w tak niewielu i tak młodzi?”. Ja skomentowałem natychmiast: „Zobaczycie, przez to, że jest nas niewielu i jesteśmy młodzi, rozbłyśnie potęga i miłosierdzie Boże”.

Jako temat pierwszego rozważania rekolekcyjnego wybrałem słowa z Psalmu 22: „Twoja łaska i twój kij pasterski dodają mi otuchy”. Odniosłem się do zaufania i nabożeństwa, jakie powinniśmy rozwijać w stosunku do Krzyża Świętego i Najświętszej Maryi Panny. Z tych ćwiczeń duchowych wszyscy wyszliśmy wewnętrznie umocnieni i gotowi wytrwać w jedności oraz być zawsze wiernymi wielkiemu dziełu, jakie się rozpoczęło.

Dziękuję i wychwalam Boga, ponieważ bez naszej zasługi wybrał nas, abyśmy byli Synami Niepokalanego Serca Maryi. Dziękuję Maryi, ponieważ Ona nas przyjęła za swoich synów. Proszę ustawicznie Boga, abyśmy umieli odpowiedzieć za otrzymane łaski. Proszę, abyśmy czynili postępy w wierze, w miłości i nadziei oraz pracowali zjednoczeni dla zbawienia wszystkich ludzi.

Kończąc te rekolekcje zostałem wybrany na Przełożonego tej pierwszej Wspólnoty Misjonarzy, Synów Niepokalanego Serca Maryi.

MISYJNY CHARAKTER ZGROMADZENIA

W ten sposób zaczęliśmy i kontynuujemy rozpoczęte dzieło. Głównym wyróżnikiem nowego Zgromadzenia jest jego misyjny charakter.

Zawsze uważałem powołanie misyjne za powołanie idealne, najbardziej wzniosłe i skuteczne. Misjonarz jest pomocnikiem Boga i z Chrystusem zbawicielem świata. To przekonanie pielęgnowałem przez całe moje życie.

W formie wskazówek zdradziłem misjonarzom klucz w ich posłudze: trzymać się postępowania oraz cnót, które najbardziej jaśnieją u Pana Jezusa ewangelizującego i starać się wiernie je naśladować.

Misyjny charakter Zgromadzenia nosi następujące wyróżniające się cechy:

Ewangelizacja w drodze. Misjonarz Apostolski jest człowiekiem dotkniętym przez Ducha Świętego, bez stałej i dożywotniej siedziby, a wysłany do głoszenia Królestwa Bożego.

Misjonarz powinien być wędrownym nosicielem słowa Bożego. Powinien nieść je z jednego miejsca na drugie, podobnie jak to czynili Pan Jezus, Apostołowie, św. Paweł, którzy nie-

strudzenie przemierzali wszystkie szlaki głosząc Ewangelię.

Z tej przyczyny misjonarz nie może być uwiązany przez innego rodzaju struktury lub zadania, które mogłyby ograniczyć lub przeszkadzać w jego swobodnym poruszaniu się. Słowo Boże nie może być skrepowane łańcuchami. Z tej samej przyczyny, ja sam zrezygnowałem z parafii, i po tym, jak mnie uwolniono z diecezji w Santiago de Cuba, jak to później opowiem, nie chciałem przyjąć innej.

Ubóstwo apostołskie. Zawsze wiedziałem, że ubóstwo i apostołskie powołanie są wzajemnie od siebie zależne. Tak żył Pan Jezus i Jego Apostołowie.

Ubóstwo misjonarza powinno być widoczne także na zewnątrz (podróże, pożywienie, wydatki, itd.), ale nade wszystko musi mieć swój wymiar i przeżycie duchowe. Zakłada ono wyrzeczenie się siebie samego i tego wszystkiego, co nie jest z Boga. Zakłada pokorę, prostotę, pracowitość, umartwienie, cierpliwość.

Zawsze starałem się być ubogim i żyć ubogo. Czasem to sprawiało mi trudności, ale czułem radość z życia w ubóstwie. Bogaci nie doświad-

czają takiej radości ze swego majątku, jakiej ja doświadczałem ze swego ubóstwa.

Ubóstwo apostołskie w ten sposób przeżywane i ukazywane stanowi nieodzowny warunek do bycia Misjonarzem Apostołskim, ponieważ czyni go wolnym i dyspozycyjnym dla misji.

Życie w braterstwie. Aż do tego czasu moje doświadczenie misjonarskie prawie zawsze dotyczyło działania pojedynczego. Musiałem pogłębić poznanie Ewangelii i zrozumiałem wtedy siłę wspólnoty i braterstwa w działalności ewangelizacyjnej. Wspólne powołanie apostołskie prowadzi koniecznie do wspólnoty życia w braterstwie. To był motyw, dla którego zaproponowałem w Zgromadzeniu Misjonarskim życie doskonale wspólne, życie ubogie i apostołskie. Nasze życie w braterstwie cechuje komunია w tych samych ideałach ewangelizacyjnych i miłość, która to wszystko uzasadnia. W ten sposób rozumiałem, że życie we wspólnocie stanowi pierwsze słowo ewangelizacji.

To są przymioty, które kształtują styl życia Misjonarzy, Synów Niepokalanego Serca Maryi. To jest to, o co sam się staram i czym naprawdę pragnę być.

ODNOSZĘ TO SAM DO SIEBIE

„Syn Niepokalanego Serca Maryi to człowiek, który płonie z miłości i zapala wszystko na swojej drodze. Szczerze pragnie i stara się wszystkimi sposobami rozpalić w każdym człowieku ogień Bożej miłości. Nic go nie przestrasza i z radością podejmuje wyrzeczenia, ponosi trudy, poświęca się, raduje się i weseli, gdy go oczerniają i prześladują. Myśli wyłącznie o tym, jak naśladować Jezusa Chrystusa w pracy, w cierpieniu i o tym, by zawsze szukać tylko i wyłącznie większej chwały Bożej i zbawienia dusz”.

W tym określeniu misjonarza zawsze staram się zmieścić się i pragnę, aby tak żyli wszyscy nowi misjonarze. Pragnę, aby Misjonarze, Synowie Niepokalanego Serca Maryi przepisali sobie ten tekst i nosili przy sobie jako syntezę i przypomnienie tego, co poleca Pan Jezus Zgromadzeniu, które dopiero, co wzbudził w swoim Kościele.

Założenie Zgromadzenia Misjonarzy, Synów Niepokalanego Serca Maryi, otwierało przede mną nowe horyzonty ewangelizacji. W rzeczywistości nie posiadałem się z wewnętrznej rado-

ści. Byłem skoncentrowany na moim zadaniu misyjnym i apostołskim. Drogi Pana były pełne misyjnych potrzeb, a ja byłem gotów na nie odpowiedzieć.

IV.

**PRZEDE WSZYSTKIM
JESTEM MISJONARZEM**

ARCYBISKUPEM W SANTIAGO DE CUBA

W sierpniu 1849 roku, po zakończeniu rekolekcji prowadzonych dla księży, Ksiądz Biskup powiedział mi, abym przyszedł do niego. Zaraz po przyjściu wręczył mi królewską nominację na Arcybiskupa w Santiago de Cuba.

Zostałem porażony tą wiadomością. Powiedziałem, że w żadnym wypadku nie przyjmę tej nominacji, ponieważ byłbym przywiązany do jednego arcybiskupstwa, podczas gdy mój duch należy do całego świata.

Błagałem Księdza Biskupa, aby w moim imieniu odpowiedział, że nie mogę przyjąć tej nominacji. Nie czułem się do tego powołanym, nie posiadałem ani odpowiedniego przygotowania naukowego, ani potrzebnych cnót. Oprócz tego, dopiero, co założyłem Zgromadzenie Misjonarzy, które powinno być rozwijane.

Ksiądz Biskup z Vic, do którego miałem wielkie zaufanie i któremu ślubowałem absolutne posłuszeństwo, polecił mi formalnie przyjęcie tej nominacji. Ten nakaz mną wstrząsnął. Z jednej strony nie miałem odwagi przyjąć nominacji, a z drugiej chciałem być posłusznym Bi-

skupowi. Prosiłem go, aby mi dał parę dni na refleksję i modlitwę, przed udzieleniem ostatecznej odpowiedzi.

Radziłem się wtedy innych godnych zaufania przyjaciół oraz osób znanych z mądrości i cnotliwego życia. Wszyscy mi odpowiadali, że taka jest wola Boża, oraz abym przyjął tę nominację.

Ostatecznie, 4 października tego samego roku 1849, pełnego tak znaczących doświadczeń w moim życiu, przyjąłem nominację na Arcybiskupa w Santiago de Cuba. Moje życie misjonarskie obrało kurs w niewyobrażalnym kierunku.

ROK INTENSYWNEJ AKTYWNOŚCI

Podczas gdy trwały przygotowania do mojej konsekracji biskupiej, nadal prowadziłem rekolekcje dla miejscowych księży, zakonników i zakonnice oraz dla świeckich, a także prowadziłem misje parafialne w rozmaitych miastach i wioskach. Wzmacniałem Księgarnię Religijną, założoną w poprzednich latach, aby wydawać ulotki, broszurki oraz książki po niskich cenach i rozdawać je jako rozpowszechnianie Słowa Bożego, wspomagając przez to chrześcijańskie wychowanie ludności.

Inne wielkie zadanie, którym się zajmowałem i przejmowałem przez cały czas, było umocnienie dopiero co założonego Zgromadzenia Misjonarzy. Dla moich współbraci była to próba trudna do pojęcia. Pan Jezus jednak wszystkich nas oświecił i dał nam poznać i przyjąć Jego drogi. Nowym Przełożonym wspólnoty został wybrany Ks. Esteban Sala.

Miałem także czas, aby zaplanować i zorganizować przyszłą pracę apostolską w Diecezji w Santiago de Cuba oraz dokonać wyboru nowego zespołu osób zaangażowanych i chętnych do tej pracy.

Wreszcie miałem okazję należycie i w czasie wielu dni odprawić ćwiczenia duchowe, celem ukierunkowania mojego nowego życia w aspekcie tego, czego pragnął ode mnie Pan Jezus.

Moja konsekracja biskupia miała miejsce w katedrze w Vic 6 października 1850 roku. Obecni byli moi rodzice, rodzeństwo i krewni. Wszyscy byli wzruszeni i uradowani.

NA WYSPIE KUBA

Po wielu wizytach przewidzianych protokołem w takich przypadkach i po powrocie do oj-

czystej ziemi celem pożegnania się z wieloma osobami i ulubionymi miejscami, dnia 28 grudnia tego samego roku w porcie Barcelony weszliśmy na pokład statku płynącego do tego dalekiego kraju, który Pan zlecił mojej duszpasterskiej pieczy.

Podróż była wybitnie misyjna. W Maladze, w czasie koniecznego trzydniowego postoju, wygłosiłem aż piętnaście kazań. Niemniej znaczącą okazją były misje, jakie poprowadziłem na pokładzie statku *Nueva Teresa Cubana*. Uczestniczyli w nich wszyscy: podróżni i załoga statku. Wszyscy wyszliśmy zadowoleni z tego nowego doświadczenia.

Dnia 16 lutego 1851 roku dotarliśmy do celu podróży. W dniu następnym miał miejsce uroczysty ingres, a po piętnastu dniach już udałem się z wizytą do miasta Cobre, do Najświętszej Maryi Panny Miłosiernej, patronki Kuby. Oddałem moje biskupstwo w Jej ręce. „Moją Przełożoną zawsze będzie Najświętsza Maryja Panna. Ja zaś rządzić będę zgodnie z Jej natchnieniem”.

Od samego początku zdałem sobie sprawę w jak opłakanym stanie znajdowała się Diecezja. Praca była trudna. Teren pracy bardzo rozległy i bez odpowiedniej sieci dróg.

Z punktu widzenia potrzeb religijnych, od czterestu lat nie było tu biskupa. Niektóre rejon-y od 70 lat nie miały wizytacji biskupiej.

Sytuacja społeczna i polityczna także była bardzo napięta i konfliktowa. Niewolnictwo stanowiło nadal bolesną rzeczywistość. Panowała wielka bieda i brak cywilizacji. Można było obserwować wybuchy separatyzmu. Nieliczni kultywowali ideały, natomiast wielu kierowało się interesami ekonomicznymi i ekspansjonizmem.

ARCYBISKUP MISYJNY

Zadanie stojące przede mną było ogromne. Starłem się przerzucić na współpracowników zajęcia związane ze zwyczajnym zarządzeniem diecezją, a dla siebie osobiście zarezerwowałem nauczanie, uważając to za mój główny obowiązek. Organizowałem grupy księży i kierowałem ich do rozmaitych rejonów, aby w ten sposób wszędzie docierać ze słowem Bożym.

Dnia 2 kwietnia rozpocząłem pierwszą wizytację duszpasterską w mieście Santiago de Cuba. Poświęciłem większą część mojego czasu i mojej energii na głoszenie kazań misyjnych.

Wizytacje duszpasterskie były przede wszystkim czasem rodzinnego współżycia oraz intensywnej i bezpośredniej ewangelizacji ludu powierzonego mi przez Boga.

W czasie pierwszych dwóch lat zwizytowałem wszystkie parafie Arcybiskupstwa. We wszystkich przeprowadzono misje głoszone przez mnie osobiście lub przez kogoś z księży. W parafiach wiejskich wykorzystywaliśmy suszarnie liści tytoniu lub jakiegokolwiek zadaszenie celem wygłaszania kazań misyjnych.

Równocześnie napisałem szereg listów pasterskich zmierzających do szukania rozwiązań dla problemów nękających ludność.

MOJA POSTAWA MISYJNA

W ciągu sześciu lat pracy, jakie spędziłem na Kubie, przeprowadziłem czterokrotnie wizytacje pasterskie w każdej parafii.

Musiałem zająć postawę szczerą i zdecydowaną wobec zauważonych pilnych problemów:

Wobec rasizmu, który marginalizował ludność czarną i mulatów, poprzez cały szereg ustaw i rozporządzeń odmawiających im należnych uprawnień. Broniałem wolności każdego z nich

w kwestii zawierania małżeństw mieszanych i aby wszyscy mogli odpowiadać za wychowanie swych dzieci.

Wobec niewolnictwa, które panowało na plantacjach tytoniu lub trzciny cukrowej, podtrzymywałem stanowczo moją postawę o godności każdej osoby niezależnie od koloru skóry. Nikt nie może rościć sobie własności szczególnej odnośnie do życia drugiej osoby.

Wobec sytuacji napięć politycznych i secesjonistycznych, gdzie tak częste były napady, aresztowania, egzekucje, starałem się zawsze podkreślać wartość przebaczenia, zgody i pokojowego współżycia. Gubernatorów prosiłem o wyrozumiałość i dobre, uczciwe oraz skuteczne zarządzanie, którego brakowało w owym czasie.

Wobec uwięzionych starałem się, aby im udzielano wszelkiej pomocy i możliwych gwarancji. Nalegałem, że powinni być należycie wychowywani i wpłynąłem na zorganizowanie warsztatów, w których więźniowie mogliby nauczyć się zawodu. Zyski z pracy mogły być przeznaczone na polepszenie warunków pomieszczeń więziennych i przynieść oszczędność wręczaną więźniom po odbyciu kary.

Wobec opuszczonych dzieci postarałem się o ufundowanie szkół, bezpłatnych dla ubogich i odpłatnych dla zamożniejszych. Przygotowaliśmy różne programy edukacyjne przystosowane dla chłopców i dziewcząt.

Wobec wielu chorych, opuszczonych przez lekarzy i bez lekarstw, postarano się obsłużyć szpitale w dużych miejscowościach i zorganizować w małych miejscowościach obsługę domową, powierzoną ludziom cieszącym się zaufaniem.

Wobec bezrobocia, uruchomiłem szkolne gospodarstwo, w którym przygotowywano do pracy zawodowej. Celem było zebranie tak licznej młodzieży wążającej się po ulicach i proszącej o jałmużnę. W tym szkolnym gospodarstwie dawano im utrzymanie i uczono ich zawodu najbardziej odpowiadającego ich możliwościom.

Za jedną godzinę pracy na gospodarstwie mogli się oni utrzymać i nawet wypracować oszczędności zapisywane na ich nazwisko. Po skończeniu szkolenia wręczano im oszczędności, aby mogli stanąć na własnych nogach.

Fundacja posiadała bibliotekę, gospodarstwo i ogród botaniczny. Sam zasadziłem wiele drzew. Napisałem książkę *Uroki życia na wsi*, która była

bardzo użyteczna w gospodarstwie, a także na innych farmach na Wyspie.

Wobec braku środków finansowych i mar-notrawstwa założyłem w diecezji Kasę Oszczędnościową. Jej celem była pomoc dla ubogich. Zauważyłem, że gdy byli oni należycie ukierunkowani i dostarczano im uczciwego sposobu zarobkowania na utrzymanie, mogli osiągać wielkie rzeczy. Udzielano pożyczki wszystkim, ale pierwszeństwo mieli zawsze ubodzy, którzy potrzebowali pieniędzy na zakup ziemi lub zwierząt oraz ci, którzy chcieli wykonywać inne zawody. Zyski przeznaczano na utrzymanie biednych wdów. Bez wątplenia była to inicjatywa bardzo pożyteczna i bardzo skuteczna.

MISYJNA SIŁA WSPÓLNOTY

Ta intensywna aktywność misyjna zawierała pewien sekret. Jedenastu księży i towarzyszący mi ludzie świeccy z Hiszpanii postanowiliśmy żyć we wspólnocie. Razem modliliśmy się, dzieliliśmy pomiędzy siebie zajęcia domowe, a także duszpasterskie. Żyliśmy jak w rodzinie, w szczerości, w prostocie, w bliskości i braterstwie. Nasza wspólnota domowa była podobna do ula:

jedni wychodzili, inni wchodzili, w zależności od przewidzianego zadania i planu zajęć. Wszyscy byli zadowoleni i radośni.

Wszyscy, którzy nas odwiedzali i przebywali czasowo z nami, byli oczarowani tym, co widzieli i wychwalali Boga.

Nie jeden raz pytałem samego siebie, jak to jest możliwe, że wśród nas panuje taki spokój, radość i harmonia i przez tak długi czas, chociaż każdy z nas posiada inny charakter i inne upodobania osobiste. Odpowiedź zawsze była jedna: Bóg jest wśród nas.

SIOSTRY ZAKONNE MARYI NIEPOKALANEJ

W ogromnych zadaniach ewangelizacji wszelka pomoc jest zawsze zbyt mała. Dlatego prosiłem Antonię París, którą znałem z Tarragony od dwóch lat, aby przybyła do mojej diecezji. Towarzyszyły jej cztery niewiasty, pragnące podobnie jak ona poświęcić się całkowicie Bogu i pracować apostołsko wśród dzieci i młodzieży. Przybyły do Santiago de Cuba 26 maja 1852 roku.

Pan udzielił mi nadzwyczajnej łaski stawiając u mego boku Antonię París. Jej bowiem Bóg

także powierzył pewną misję: „założenie nowego zgromadzenia, nowego nie w sensie doktryny, ale w sensie praktyki”. Moim zadaniem było wspomaganie jej, zachęcanie i wraz z nią realizowanie Bożych zamiarów. I czyniłem to z radością.

Dnia 25 sierpnia 1855 roku podpisałem dekret o założeniu nowego Zgromadzenia: *Siostry zakonne Maryi Niepokalanej*. Dwa dni później przyjmowałem profesję zakonną od Antonii París i jej towarzyszek, jako Zakonnic Maryi Niepokalanej. Praktykując ubóstwo ewangeliczne ślubują „nauczać wszystkich Ewangelii Jezusa Chrystusa w jakiegokolwiek części świata” i przyczyniać się do ustawicznej odnowy Kościoła. Ich poświęcenie wychowaniu chrześcijańskiemu dzieci i młodzieży oraz zadaniom duszpasterskim stanowiło znaczący wkład w życie diecezji.

NASTAWANO NA MOJE ŻYCIE

Moja gorliwość dotyczyła tak spraw duchowych jak i materialnych. We wszystkim odczuwałem zrozumiałą troskę misjonarską.

Niemniej, jak zwykle się mówić w takich przypadkach, wielu ludzi dotykało głoszenie Ewangelii i to odczułem szybko na własnej skó-

rze. Własną krwią przypieczętowałem to, co głosiłem słowami.

W rzeczywistości rzucono wiele oszczerstw na mnie osobiście i na moich współpracowników. To sprawiło nam wszystkim ogromną przykrość.

Na mnie dokonano wielu napadów. Najbardziej znaczący miał miejsce w Holguín, 1 lutego 1856 roku. Po kazaniu o tajemnicy Ofiarowania Najświętszej Maryi Panny, gdy powracałem do domu, pewien człowiek zbliżył się do mnie w geście ucałowania biskupiego pierścienia. Gdy był blisko wyciągnął brzytwę i z całą siłą zadał mi cios. Przeciął mi cały policzek i zranił prawą rękę.

Nie mogę wyrazić radości i szczęścia, jakie odczułem stwierdzając, że otrzymałem to, czego tak bardzo pragnąłem: przelać swą krew z miłości do Jezusa i Maryi i przypieczętować własną krwią ewangeliczne prawdy przeze mnie głoszone.

W czasie rekonwalescencji dojrzała we mnie idea założenia Akademii św. Michała. Miało to być stowarzyszenie integrujące twórców literackich, poetów, artystów, ludzi nauki i kultury,

wszyscy w służbie Kościoła i ewangelizacji społeczeństwa.

GDY WYJEŻDŻAŁEM Z WYSPY

Na Wyspie żyłem sześć lat. Było to dla mojego misjonarskiego życia, bez wątpienia, intensywne i pasjonujące doświadczenie. Były dni pełne goryczy, ale i dni, w których doznawałem szczególnej obecności Bożej Opatrzności. Dni, w czasie których widziałem jak wzrastało wielkodusznie siane ziarno słowa Bożego, i dni, w których odczuwaliśmy trud i ciężar pracy na niwie ewangelicznej.

Dnia 18 marca 1897 roku otrzymałem nakaz królewski, który zmieniał bieg mojego życia. Królowa Izabela II wybrała mnie jako swego spowiednika. Musiałem przenieść się do Madrytu.

Znowu wola Boża objawiająca się poprzez tę nieoczekiwaną nominację wprowadzała mnie w zakłopotanie. Ale znów miałem okazję wypełnić ją wiernie, nie obstając przy swoich upodobaniach i pragnieniu kontynuowania dzieła w Santiago de Cuba.

Prosiłem wszystkich moich współpracowników, aby utrzymali swoje stanowiska aż do przybycia nowego biskupa. Odczułem bardzo to

rozstanie się z nimi i z ludem, któremu tak zdecydowanie chciałem służyć w charakterze Arcybiskupa i Misjonarza.

Pożegnanie było masowe i wzruszające. Ludzie odczuwali smutek z powodu mojego odejścia. Cztery dni później pozostawiłem Santiago udając się do Hawany i dnia 12 kwietnia zostawiłem definitywnie Kubę za sobą.

NA DWORZE KRÓLEWSKIM W MADRYCIE

W pierwszych dniach czerwca 1857 roku, po pokonaniu wielu przeszkód, przybyłem do Madrytu, nie wiedząc w rzeczywistości, jakie obowiązki były związane z posługą spowiednika królowej Izabeli II.

Szybko zdałem sobie sprawę ze skomplikowanej sytuacji na dworze królewskim w Madrycie. Z jednej strony osobiste problemy rodziny królewskiej, z drugiej niezdolność intrygi pałacowe i polityczne. Także trudna była sytuacja Kościoła, który w owym czasie został dotknięty skutkami ustawy pozbawiającej go wielu posiadłości i nie pozwalającej mu działać z pełną swobodą.

Nie posiadam manier dworskich czy pałacowych. Przyjmując tę nominację, jako wyraz

woli Bożej, prosiłem gorąco Królową o trzy rzeczy: abym nie musiał mieszkać w pałacu, co byłoby dla mnie męką; abym nie musiał oczekiwać na audiencję w przedpokoju; i przede wszystkim, abym mógł swobodnie prowadzić działalność ewangelizacyjną i misyjną.

JAK PTAK W KLATCE

Czasem mówię, że Bóg dał mi to miejsce jako czyściec, bym odpokutował za grzechy mojego przeszłego życia. Innym razem zapewniam, że w całym swoim życiu nie nacierpiałem się tyle, jak od czasu, gdy znajduję się na dworze.

Cały czas wdycham do chwili, kiedy będę mógł wyjść z tej sytuacji. Jestem jak ptak pochwycony i umieszczony w klatce, który cały czas szuka sposobu wyjścia. Czasem nawet dochodzę do pragnienia w wyobraźni triumfu rewolucji, która by mnie wreszcie wyrzuciła z pałacu.

Z drugiej strony, nie mogę skarżyć się na nikogo. Rodzina królewska mnie lubi i docenia, a pozostali mieszkańcy pałacu mnie szanują. Dziękuję Bogu za tę odrazę, jaką odczuwam w stosunku do pałacowego życia. Być może, Bóg to sprawia, abym nie skłaniał swego ser-

ca ku zaszczytom, bogactwu i wielkości tego świata.

W rzeczywistości odkrywam u siebie dwie siły: jedna, to życie misjonarza, które mnie skłania do życia jak najdalej od Madrytu; i druga, która mnie wysłała na tę misję do dworu. Tą drugą była wola Boża.

W codziennych modlitwach mówię do Boga, że zawsze pragnę pełnić Jego wolę. Ofiaruję tę uciążliwość przebywania w Madrycie, a równocześnie dziękuję Mu, ponieważ nie pozwala mi, abym się przyzwyczaił do łatwego i wygodnego życia.

Teraz Bóg chce mnie mieć tutaj i tutaj jestem. Wyjdę w czasie stosownym.

INNY SPOSÓB BYCIA MISJONARZEM

Ta nowa sytuacja zmusiła mnie do zaplanowania innego sposobu przeżywania mojego powołania misyjnego.

Oczywiście, nowe struktury, w jakie zostałem wtłoczony uczyniły z moich dni ciągle uwarunkowanie mojej aktywności ewangelizacyjnej. To spowodowało, że postanowiłem zmienić mój sposób działania.

Być spowiednikiem królowej oznaczało być związanym z Madrytem jak pies z budą. Nie pozwalało mi to poruszać się swobodnie i głosić kazań w innych miejscach.

Z drugiej strony, dość szybko zorientowałem się, że to także stwarzało wielkie możliwości dla działalności misyjnej i chciałem je wykorzystać w sposób najbardziej właściwy.

W towarzystwie królewskim miałem okazję wędrować po całym Półwyspie. Były to oficjalne podróże królewskie, w których ja pełniłem odpowiedni protokół. Starałem się uwolnić jak najszybciej z tego protokołu i oddawałem się głoszeniu słowa Bożego w każdej wizytowanej miejscowości. W ten sposób miałem okazję i głęboką radość głoszenia kazań, dosłownie we wszystkich regionach Hiszpanii.

Zachowuję niezatarte wspomnienia moich podróży apostołskich w wyjazdach do regionów Walencji, Galicji, Leon i Asturii, Katalonii i Aragonii, do Kraju Basków, Kastylii i Extremadury... W rzeczywistości czułem się szczęśliwy i zadowolony, niejako wynagrodzony z nadwyżką za te wszystkie nieprzyjemności życia w pałacu. Głęboki ślad pozostawiła we mnie podróż z Kró-

lową po ziemi Andaluzji w 1862 roku. Przez czterdzieści osiem dni poświęciłem się całkowicie głoszeniu słowa Bożego ludziom wszelkiego stanu. Komuś przyszło to do głowy i policzył, że wygłosiłem w tych dniach 205 kazań.

Będąc zależnym od życia na dworze królewskim nie miałem możliwości utrzymywania bezpośredniego kontaktu z różnego rodzaju warstwami ludności, co zawsze było moim pragnieniem. Teraz ten kontakt był bardzo ograniczony. Ale teraz także nadarzała się okazja poznać z bliska problemy i sprawy ogólne, które dotyczyły w całości sytuacji Kościoła w Hiszpanii.

Z mego stanowiska starałem się piętnować profetycznie jakąkolwiek decyzję rządową wymierzoną przeciwko dobru czy prawu Kościoła. Zabiegałem, aby biskupi mianowani do kierowania diecezjami mieli na względzie wykonywanie swojej misji duszpasterskiej, z dala od interesów klasowych czy politycznych.

Piastując stanowisko zarządcy klasztoru w Eskurialu starałem się odnowić formację nowych kapłanów, dlatego wyposażyłem seminarium w środki materialne, pedagogiczne i biblioteczne najbardziej nowoczesne. Zarząd oddałem

zespółowi najbardziej przygotowanych księży. O jego dobrym funkcjonowaniu wkrótce dowiedziała się cała Hiszpania. Napisałem książkę *Uczeń lub seminarzysta teoretycznie i praktycznie kształcony*. Wiem, że podobała się bardzo i stanowiła wielką pomoc. W ten sposób stawało się rzeczywistością moje marzenie, aby z klasztoru w Eskurialu uczynić wzorcowy ośrodek, gdzie księża i świeccy otrzymują odpowiednią formację potrzebną dla odnowy Kościoła w Hiszpanii.

Zawsze uważałem, że ewangeliczne świadectwo ubóstwa powinno towarzyszyć postawie i stylowi życia Misjonarza apostołskiego. Teraz, okoliczności były zupełnie odmienne. Nie można powiedzieć, że dwór królewski jest najlepszym miejscem, aby praktykować ubóstwo.

Już nie mogłem nosić mego zawiniątka z czasów katalońskich, ale chciałem pielęgnować tę samą postawę, skupiając się na praktykowaniu wstrzemięźliwości w jedzeniu, mieszkaniu, ubraniu i innych wygodach. Troszczyłem się, aby moje mieszkanie było proste i poważne. Unikałem obwieszania się krzyżami i odznaczeniami, z wyjątkiem okoliczności zachowania etykiety. Wszyscy biskupi w Hiszpanii posiadali jakiś

prezent od króla, jednakże ja nic nie otrzymałem i nie chciałem otrzymać.

W moich kampaniach misyjnych zawsze mówiłem i głosiłem o miłosierdziu Bożym i piętnowałem zwyczaje i obyczaje ludzi, którzy schodzą z uczciwej drogi i nie dbają o to, czego Bóg chce dla nas. Teraz ta sytuacja jest dla mnie uciążliwa. Niemniej słowami i moją postawą usiłowałem zachować moje zdecydowane piętnowanie wobec wszystkich wielkich w Hiszpanii, którzy czasami pozostawiali wiele do życzenia odnośnie do swego postępowania. Przykład tych osób miał wielki wpływ na otoczenie i stąd brał się mój upór, aby byli ludźmi uczciwymi i solidnymi.

Zawsze byłem zwolennikiem wspomagania i zachęcania przy pomocy wszystkich dostępnych środków do chrześcijańskiego wychowania i oświaty. Dlatego wydawałem obrazki, druczki, ulotki, czasopisma, książki. Teraz miałem więcej czasu i dlatego poświęcałem się pisaniu z wielkim entuzjazmem i zapałem. Napisałem wiele książek i niektóre osiągały dużą popularność i upowszechnienie. Niemniej mój wkład był jak kropla w oceanie potrzeb. Zrozumiałem wtedy, że nadszedł czas założenia Akademii św. Michała,

idei i planu zrodzonych w czasie mojej rekonwalescencji po zamachu w Holguín. Król i Królowa byli jej pierwszymi członkami, a wielka liczba intelektualistów z całej Hiszpanii oddała swój talent na służbę Ewangelii.

W odpowiedzi na entuzjazm, jaki zapanował w czytelnictwie i celem pomocy Księgarni Religijnej, wspierałem powstanie bibliotek powszechnych i parafialnych. Widziałem potrzebę powszechnego dostępu do dobrych książek mogących pomóc w prowadzeniu życia po chrześcijańsku. W tym dziele uczestniczyło wielu ludzi świeckich, zaangażowanych w działalność ewangelizacyjną.

Wielka szkoda, że te i inne inicjatywy misyjne powstałe w tych latach w Madrycie, osłabły lub zanikły, na skutek rewolucji z 1868 roku.

DZIEŃ POWSZEDNI

W rzeczywistości dni w Madrycie różniły się bardzo od tego, czego ja pragnąłem. Napisałem sobie plan zajęć, który starałem się wykonywać w sposób możliwie najlepszy.

Wstawałem bardzo wcześnie rano, ponieważ nie potrzebuję długiego snu. Poświęcałem około

czterech godzin na modlitwy, Liturgię Godzin, rozmyślanie i czytanie Biblii. Następnie odprawiałem Mszę św. z dłuższą po niej modlitwą dziękczynną. Do godziny jedenastej poświęcałem czas na słuchanie spowiedzi. Było wiele godzin poświęconych tej posłudze pojednania ludzi z Bogiem, podczas których byłem świadkiem wielu nawróceń. Także dla wielu osób byłem kierownikiem duchowym w ich życiu rodzinnym, zawodowym, kapłańskim czy zakonnym.

Od jedenastej do dwunastej udzielałem audiencji osobom, które chciały ze mną rozmawiać. Często przychodzili oni, aby prosić o posady, delegacje, rekomendacje i przywileje, sprawy, których ja nie mogłem ani nie chciałem załatwiać, ponieważ nie wchodziły w zakres moich kompetencji. Była to godzina dla mnie bez wątpienia najcięższa.

Posiłkiem i krótkim odpoczynkiem kończył się czas poranny.

Po południu wypełniałem czas najczęściej odwiedzając chorych, więźniów oraz instytucje charytatywne; poświęcałem czas na głoszenie kazań w wielu kościołach i domach zakonnych, na czytanie, studiowanie, a przede wszystkim

na pisanie książek i ulotek, które w tych latach mogłem opublikować. W tę pracę włożyłem wiele trudu i energii, a także pieniędzy, rozumiejąc wielkie znaczenie tych środków przekazu, aby Ewangelia docierała do najbardziej oddalonych zakątków, skąd daleko jest do kościoła.

Przed wieczszą miałem chwilę na modlitwę, a o dziesiątej w nocy udawałem się na spoczynek.

Poza tymi zwyczajnymi obowiązkami, były także inne o charakterze nadzwyczajnym, jak głoszenie kazań w licznych parafiach, rekolekcje prowadzone w wielu przypadkach dla księży, zakonników i ludzi świeckich, niezliczone kazania z okazji nowenn, świąt maryjnych czy uroczystości ku czci świętych.

Pomimo prowadzenia tak wielu dzieł, wewnętrznie nie czułem się zadowolonym. Zawsze marzyłem o tym, aby być pokornym misjonarzem w tym Bożym świecie. Podróże z parą królewską poprzez regiony Hiszpanii w części pozwoliły mi zrealizować to marzenie. Królowie, mówiłem sobie, zwołują i gromadzą lud, a ja z tego korzystam, aby go nauczać.

KALUMNIE I ZAMACHY

Także w Madrycie miałem swoje dni goryczy i utrapienia. Doświadczałem wiele przykrości z powodu kalumnii i prześladowań. Fałszowano moje książki lub pisano inne plugawe i skandaliczne pod moim nazwiskiem. Zrealizowano bezwstydną kampanię, chytrze przemyślaną, odnośnie do moich relacji z Królową lub innymi pobożnymi przyjaciółkami Królowej. Pisano wierszyki, rysowano karykatury i inne nieprzyzwoitości. Nawet wykorzystano pudełka z zapalkami, aby propagować oszczerstwa i satyry przeciwko mojej osobie.

Doświadczyłem także wielu zamachów na moje życie; chciano mnie uciszyć przy pomocy kryminalistów zaopatrzonych w sztylety i broń palną.

To wszystko jednak mnie nie przestraszało zbyt. Wiedziałem, że nasz Pan Jezus także był prześladowany, a uczeń nie może wymagać więcej niż jego mistrz.

W obliczu tego wszystkiego wyrażałem wdzięczność Bogu i prosiłem o Jego łaskę dla tych wszystkich, którzy mnie oczerniali. Dla

mnie jedynie prosiłem o pokorę, łagodność, cierpliwość, zgadzanie się z Jego świętą wolą, abym mógł cierpieć w milczeniu, w zjednoczeniu z Jego cierpieniami i prześladowaniami.

W ZAŻYŁOŚCI Z BOGIEM

W całym tym czasie Bóg zsyłał mi wielkie pociechy osobiste. Zawsze miałem dość sił, aby znosić z radością wszystkie przeciwności. Bóg dał mi poznać jak umartwienie powinno być zawsze aktualnym środkiem, którego Misjonarze, Synowie Niepokalanego Serca Maryi powinni się nauczyć i je praktykować.

Czułem jak Bóg mnie powołuje i udziela mi siły do upodobniania się do Niego. On chciał, abym zawsze pełnił Jego wolę.

Moje doświadczenie obecności Jezusa w Eucharystii, w sprawowaniu ofiary Mszy św. lub w adoracji Najświętszego Sakramentu było tak głębokie, że nie umiałem tego wytłumaczyć. Czułem i czuję Jego obecność w sposób tak żywy i bliski, że ciężko mi jest oderwać się od Niego, aby prowadzić zwyczajne zajęcia.

Dnia 26 sierpnia 1861 roku, o siódmej wieczorem, znajdowałem się na modlitwie w ko-

ściele Matki Boskiej Różańcowej w La Granja (Segowia). Pan Jezus obdarzył mnie wówczas mistyczną łaską zachowania Jego postaci sakramentalnych, abym je nosił zawsze w sobie, dniem i nocą. Od tego czasu powinienem być bardziej nabożny i skupiony wewnątrz. Powinienem także modlić się i stawiać czoła wszystkiemu złu w Hiszpanii, jak to mi ukazywał Pan Jezus w innych okolicznościach.

W czasie godzin rozmyślenia i słuchania Słowa Bożego, czułem, że Pan Jezus patrzy z zadowoleniem na pisanie książek i na całą moją misjonarską aktywność w Madrycie i to sprawiało mi przyjemność.

TOWARZYSZĄC W DRODZE ZGROMADZENIU MISJONARZY

W tych latach mogłem usługiwać, chociaż w niewielkim stopniu, także Zgromadzeniu Misjonarzy, Synów Serca Maryi, które z takim entuzjazmem założyłem owego 16 lipca 1849 roku. Czasem miałem okazję współdzielenia z radością życia wspólnotowego z moimi współbraćmi.

Wspierałem jego umocnienie i rozwój. Śledziłem z zainteresowaniem tworzenie dzieł w Bar-

celonie, Segowii, Huesca i w La Selva del Campo (Gerona). Zachęcałem Ojca Jose Xifré, nowego Przełożonego Generalnego, aby tworzył dzieła także poza Hiszpanią. Moja radość była ogromna na wiadomość o utworzeniu nowych dzieł w Algierze i w Chile. Dwa nowe kontynenty otwierały się na misyjne działanie młodego Zgromadzenia.

Dzień 22 grudnia 1865 roku był bez wątpienia dniem znaczącym i radosnym. Papież Pius IX udzielił swojej aprobaty dla Konstytucji Zgromadzenia i w ten sposób uznał nasz misyjny charakter w służbie społeczeństwa i Kościoła.

Nieco później, z okazji obchodzenia rocznicy założenia Zgromadzenia, napisałem list do Ojca Generała, rekomendując mu niektórych misjonarzy mających uzdolnienia i przygotowanie w tym kierunku, aby poświęcili się wychowaniu chrześcijańskiemu dzieci i młodzieży w szkołach podstawowych i średnich. W moim długim doświadczeniu misyjnym zauważyłem, że jest to bardzo skuteczna forma niesienia słowa Bożego, wspierająca wychowanie integralne i przeciwstawiająca się dechrystianizacji rodziny. W sytuacji, przez jaką przechodziła Hiszpania, przyniosłoby to jej wiele dobrego.

V.

GŁOS BOŻY NIE UMIERA

DROGA NA WYGNANIE

Tak mijały moje dni w ciągu jedenastu długich lat.

Nadeszło lato 1869 roku. Częściowo spędziłem je w San Sebastian, towarzysząc rodzinie królewskiej, podobnie jak w innych latach. Już zajęliśmy miejsca w wagonie pociągu z powrotem do Madrytu i wtedy otrzymaliśmy polecenie powrotu do rezydencji. Wiadomości, jakie Minister ds. Wewnętrznych otrzymywał z Madrytu, skłoniły go do podjęcia takiej decyzji.

Sytuacja pogorszyła się do tego stopnia, że następnego dnia przyjęliśmy polecenie udania się do Francji. W tym samym królewskim pociągu pojechaliśmy do Francji. Królowa także już nie powróciła jako królowa. Wychodziliśmy z pociągu z Królową, jej mężem i synem Alfonsem, eskortowani przez oddział halabardników, który oddawał ostatecznie honory wojskowe.

Spędziliśmy pięć tygodni w Pau, aż do osiedlenia się w Paryżu. Towarzyszyłem rodzinie królewskiej w miarę jak mogłem. Zajmowałem się także wychowaniem księcia.

W Paryżu głosiłem kazania w czasie Wiel-

kiego Postu 1869 roku. Poświęciłem dużo czasu na słuchanie spowiedzi i pomoc Księdzu Arcybiskupowi w udzielaniu sakramentu bierzmowania i innych zleconych mi posługach.

SOBÓR WATYKAŃSKI I

Dnia 30 marca 1869 roku wyruszyłem w podróż do Rzymu, nie podejrzewając jeszcze wtedy, że moje życie teraz toczyć się będzie po nowym kursie. Byłem gotów oddać się w sposób definitywny od Królowej i jej dworu. Podróż do Rzymu posłużyła mi za pretekst, aby zmaterializować to oddalenie.

W Rzymie zalecono mi, że byłoby wskazane wybrać bym tu pozostał, aby współpracować w prowadzonych przygotowaniach związanych z Soborem. Ponieważ wędrowałem i znałem wiele miejsc, miałem szerokie i zróżnicowane doświadczenie, pytano mnie o wiele spraw. To sprawiało, że czułem się tu bardzo potrzebny.

W czasie święta Niepokalanego Poczęcia Maryi, w 1869 roku, papież Pius IX otwierał uroczyste Sobór Powszechny Watykański I. Poświęciłem się duszą i ciałem tym pracom: sprawdzanie dokumentów, uczestnictwo w gru-

pach badawczych, dyskusyjnych, wnioskujących, itd.

W czasie sesji publicznych nie zabierałem głosu przez długi czas. Istnieje bowiem czas milczenia i czas mówienia. Gdy jednak poruszano temat o nieomyślności papieża, nie mogłem siedzieć spokojnie, gdy wysłuchiwałem rozmaitych opinii. Niektóre propozycje wywoływały u mnie niesmak.

Dlatego poczułem się poruszony, aby dać świadectwo mojej wiary w soborowej auli. Było to doświadczenie bardzo szczególne. Wyznałem i wygłosiłem, że wierzyłem z całych moich sił w nieomyślność papieża, kiedy określa uroczyste prawdę wiary, a jako świadectwo tego, co twierdziłem, wskazałem na stygmaty, jakie noszę na ciele. Wyznałem i publicznie oświadczyłem, że byłem gotów przelać ostatnią kroplę krwi w obronie prawdy wygłoszonej wobec wszystkich.

OSTATNIE DNI

Rozpoczął się rok 1870 i moje zdrowie powoli gasło. Na wiosnę w Rzymie wydawało się, że moje siły już się kończą.

Ojciec José Xifré, Przełożony Generalny mojego umiłowanego Zgromadzenia Misjonarzy

Synów Niepokalanego Serca Maryi przybył do Rzymu, aby mnie zabrać do Prades we Francji. To było miejsce służące jako rezydencja, a jednocześnie jako schronienie dla Misjonarzy wyrzuconych z Hiszpanii. Oni oczekiwali mnie z otwartymi ramionami.

Dnia 23 lipca przybyłem do wspólnoty Misjonarzy. Było to radosne spotkanie pomimo niedogodności związanej z moją chorobą i wygnaniem.

W miarę odpoczynku i troskliwej opieki, jakiej mi nie szczędzono, dość szybko poczułem się lepiej. Niemniej coś przeczuwałem, że bliski jest mój kres.

Upłynęło parę dni, gdy otrzymaliśmy wiadomość o zamiarach uwięzienia mnie. W rzeczywistości, 3 sierpnia zostałem powiadomiony, że powinienem szybko uciekać, ponieważ było wiadomo z całą pewnością, że przyjdą mnie uwięzić.

Mnisi, Cystersi z Opactwa Fontfroide, blisko Narbony, zgodzili się z wielką radością udzielić mi gościny w swoim klasztorze. Nie chciałem ich narażać i myślałem powrócić do Rzymu. Ale ani mnisi, ani O. Xifré ze wspólnotą Misjonarzy nie

chcieli się zgodzić na mój powrót do Rzymu, ponieważ moje zdrowie nie wytrzymałoby tak długiej i uciążliwej drogi.

Gdy byłem gotów wyruszyć do klasztoru, pytano mnie, co chciałbym zabrać ze sobą. Spokojnie im odpowiedziałem, że wystarczy mi moje zawiniątko tak, jak to odbywało się w owych dobrych czasach podróży misyjnych w Katalonii i na Wyspach Kanaryjskich. Było to czułe i wzruszające wspomnienie tego wielkiego marzenia bycia prostym i pokornym Misjonarzem. To, co wystarczało mi, aby żyć, powinno wystarczyć, aby umrzeć.

W czasie paru miesięcy mogłem żyć w ciszy i spokoju w owej oazie pogody ducha, prowadząc życie wśród mnichów. W pierwszych dniach października doświadczyłem wielkiego pogorszenia na zdrowiu. Moje siły słaby z każdym dniem. Na nic się nie zdawały ani czuwania mnichów, ani zabiegi lekarskie. Moje dni dobiegały kresu. Przy moim boku wraz z mnichami znajdowali się ojcowie José Xifré i Jaime Clotet, współzałożyciele Zgromadzenia Misjonarzy, Synów Niepokalanego Serca Maryi. Sądzę, że byłem przygotowany i spokojny, aby oddać moje życie w ręce Boga.

Dnia 24 października 1870 roku, Antoni Maria Klaret, Misjonarz, Syn Niepokalanego Serca Maryi, oddał ostatecznie swoje życie Panu. Napis na jego grobie brzmiał następująco:

„Umiłowałem sprawiedliwość, a zniechęciłem się nieprawości, dlatego umieram na wygnaniu”.

Po latach, dnia 7 maja 1950 roku, w czasie uroczystości kanonizacyjnej, papież Pius XII, nakreślił wspaniałą syntezę jego życia: „Święty Antoni Maria Klaret, wielki duchem, stworzony, aby godzić kontrasty: będąc skromnego pochodzenia, stał się sławny wobec całego świata. Niewielki ciałem, ale ogromny duchem. Niepozornej powierzchności, ale zdolny zmusić do szacunku nawet wielkich tego świata. Silny charakterem, ale łagodny słodyczą człowieka posługującego się hamulcem wyrzeczenia i pokuty. Żyjący zawsze w obecności Bożej, nawet pośrodku zadziwiającej aktywności zewnętrznej. Oczerniany i podziwiany, oklaskiwany i prześladowany. A wśród tylu godnych podziwu przymiotów, jego kult Matki Bożej, niczym łagodny promień światła, rozjaśnia wszystko”.

WAŻNIEJSZE DATY Z ŻYCIA ŚW. ANTONIEGO MARII KLARETA

- 1807** Rodzi się w Sallent, w prowincji Barcelona, diecezji Vic w rodzinie tkackiej w dniu 23 grudnia.
- 1819** Odczuwa pierwsze oznaki powołania do stanu kapłańskiego.
Przez swojego ojca zostaje zatrudniony w warsztacie tkackim celem wyuczenia się sztuki tkactwa.
- 1825** Przenosi się do Barcelony, aby udoskonalić się w sztuce tkackiej.
- 1829** Wstępuje do seminarium w Vic.
- 1835** 13 czerwca zostaje wyświęcony na kapłana w Salsona (Lérida) przez bpa Juan José de Tejada. Ma 27 lat.
- 1839** We wrześniu wyjeżdża do Rzymu, aby oddać się do dyspozycji Kongregacji ds. Rozkrzewiania Wiary.
- 1841** Posiadając tytuł Misjonarza Apostolskiego przenosi się do Vic, aby całkowicie poświęcić się służbie misjonarskiej.

- 1848** Misjonarz Apostolski na Wyspach Kanaaryjskich.
- 1849** W maju wraca do Katalonii.
Dnia 16 lipca, wraz z ojcami: Esteban Sala, Manuel Vilaró, José Xifré, Domingo Fábregas i Jaime Clotet zakłada Zgromadzenie Misjonarzy Synów Niepokalanego Serca Maryi (Klaretyni).
11 sierpnia otrzymuje nominację na Arcybiskupa Santiago de Cuba.
- 1851** Dnia 16 lutego przyżywa na Kubę i rozpoczyna działalność misjonarską jako biskup.
- 1855** 25 sierpnia wydaje Dekret fundacyjny Zakonnicy Maryi Niepokalanej, Misjonarzy Klaretynów, których jest założycielem wraz z m. Antonią París de San Pedro.
- 1856** 1 lutego ma miejsce zamach na jego życie w Holguín (Kuba).
- 1857** Otrzymuje nominację na spowiednika królowej. Pełniąc tę funkcję rozwija jednocześnie intensywną działalność apostołską: przepowiada, spowiada, pisze

książki, doradza, podejmuje nowe inicjatywy.

- 1858** 1 listopada zakłada Akademię św. Michała dla pisarzy, artystów i działaczy rozpowszechniania kultury w służbie ewangelizacji.
- 1859** Mianowany opiekunem klasztoru El Escorial.
- 1861** 26 sierpnia w kościele Matki Bożej Różańcowej w La Granja otrzymuje „wielką łaskę” zachowania specji sakramentalnych. W październiku rozpoczyna redakcję Autobiografii.
- 1864** Zakłada biblioteki ludowe i parafialne.
- 1865** Pisze Konstytucje dla Zgromadzenia Misjonarzy.
- 1868** Wygnany razem z królową przez rewolucję udaje się do Francji.
- 1869** Przybywa do Rzymu. Gości w klasztorze Zakonu Mercedariuszy w San Adrián.
Uczestniczy w uroczystości otwarcia I Soboru Watykańskiego.

1870 23 lipca przenosi się do Prades /Francja/ ze swoimi misjonarzami. Dnia 6 sierpnia, będąc prześladowany, ucieka i chroni się w klasztorze cysterskim w Fontfroide w pobliżu Narbony.

24 października umiera otoczony kilkoma misjonarzami i mnichami cysterskimi.

27 października odbyły się skromne uroczystości pogrzebowe.

1887 Zostaje otwarty proces beatyfikacyjny w Vic.

1897 Jego szczątki doczesne zostają przeniesione do kościoła la Merced w Vic, gdzie spoczywają do dzisiaj.

1926 Pius XI ogłasza heroiczną jego cnót.

1934 25 lutego: Uroczystość beatyfikacyjna.

1950 7 maja: Uroczystość kanonizacyjna.

DODATEK

ŚLADAMI OJCA KLARETA

MISJONARZE SYNOWIE NIEPOKALANEGO
SERCA MARYI (MISJONARZE KLARETYNI)

Zgromadzenie Misjonarzy Klaretynów jest obecne w ponad sześćdziesięciu krajach na pięciu kontynentach. Ponad trzy tysiące Misjonarzy Klaretynów, którzy żyją w przeszło pięciuset wspólnotach zakonnych, idzie śladami Ojca Klareta, kontynuując jego misjonarskie dzieło.

Są także polscy Klaretyni, którzy pracują dzisiaj w Rosji na Syberii, w Afryce na Wybrzeżu Kości Słoniowej, w Chile, na Filipinach, na Kubie, Białorusi, w Republice Czeskiej, w Niemczech i w Anglii.

Konstytucje Misjonarzy Klaretynów mówią: Zadaniem naszego Zgromadzenia jest poszukiwanie we wszystkim chwały Boga, dążenie do uświęcenia swoich członków i zarazem do zbawienia ludzi na całym świecie – zgodnie z naszym misjonarskim charyzmatem w Kościele. Współpraca w posłudze słowa leży u samych podstaw naszego wspólnego życia. Na różny jednak sposób uczestniczymy w misyjnym dziele wspólnoty: czy to przez zjednoczenie we wspólnej pracy niektórych członków Zgromadzenia,

czy w zadaniu powierzonym przez wspólnotę poszczególnym osobom, czy też poprzez modlitwę i cierpienie w intencji Kościoła. Zgromadzenie nasze wypełnia swoje posłannictwo przez zakładanie i umacnianie wspólnot wierzących, bądź w celu nawrócenia ich na wiarę do Boga, bądź odnowienia ich życia w Chrystusie i doprowadzenia do doskonałości.

Zgromadzenie składa się z misjonarzy kapłanów, braci i studentów, uczestnicząc w tym samym powołaniu. Wszyscy, zgromadzeni w tej samej wspólnotcie, wypełniamy to samo posłannictwo i stosownie do daru swojego własnego stanu i szczególnej powinności w Zgromadzeniu, uczestniczymy w tych samych prawach i obowiązkach, które wypływają z profesji zakonnej. W Kościele jesteśmy wytrwałymi współpracownikami Pasterzy w służbie Słowa, wykorzystując wszelkie dostępne nam środki dla krzewienia Ewangelii o Królestwie na całym świecie.

Posługa Słowa, przez którą udostępniamy ludziom całość tajemnicy Chrystusa, stanowi nasze szczególne powołanie wśród ludu Bożego. Zostaliśmy posłani dla zwiastowania życia i śmierci Pana i Jego zmartwychwstania, aż do Jego po-

wtórnego przyjścia, ażeby wszyscy ludzie wierząc w Niego zostali zbawieni.

Misjonarze, dla wypełnienia tego misyjnego zadania, mają stosować wszelkie dostępne środki, lecz przede wszystkim pielęgnują w sobie:

- *zmysł rozpoznawania* wśród innych rzeczy tego, co bardziej naglące, bardziej pożyteczne i praktyczne, z uwzględnieniem okoliczności czasu, miejsca i osób.
- *zmysł dyspozycyjności* takiego stopnia, aby dla wypełnienia zadania rozkrzewiania wiary tak za granicą jak i w ojczyźnie – otwarci na Ducha i oddani dziełu misyjnemu, byli gotowi zrzec się wszystkiego, co do tej pory posiadali.
- *zmysł uniwersalizmu* («sensum catholicitatis»), dzięki któremu, posłani na cały świat, będą umieli otwartym sercem docenić ludowe obyczaje i ich znaczenie dla religii i kultury.

Wysiłek misjonarski kierujemy w pierwszej kolejności do tych, którzy ewangelizacji najbardziej potrzebują, bądź do tych, którzy w tej ewangelizacji czynnie uczestniczą lub są w stanie uczestniczyć. Poszczególnych ludzi i wszystkich, którzy kierują się duchem misjonarskim –

a starających się o nawiązanie z nami współpracy – chętnie włączajmy w Panu w nasze apostołskie prace.

Być misjonarzem na wzór Ojca Klareta, to znaczy być wprost i zasadniczo ukierunkowany na ewangelizację.

Głównymi cechami, charakterystycznymi ewangelizacji prowadzonej przez Misjonarzy Klaretynów są:

- *Ewangelizacja misjonarska*, skierowana na nawrócenie ludzi i odnowę życia chrześcijańskiego.
- *Ewangelizacja inkulturowana*, w aktywności i dialogu z różnymi kulturami.
- *Ewangelizacja profetyczna i wyzwalająca*, prowadząca poprzez życie i głoszone Słowo do światła Ewangelii.
- *Ewangelizacja ukierunkowana na ubogich*.
- *Ewangelizacja pomnażająca głosicieli Słowa* w służbie dzisiejszemu światu i Kościołowi.

Główne pola działalności Misjonarzy Klaretynów to: wędrowne przepowiadanie, misje i rekolekcje ludowe, prowadzenie zamkniętych ćwiczeń duchowych dla różnych grup i stanów,

edukacja chrześcijańska i katechezy (uniwersytety, uczelnie, szkoły, ...), praca parafialna, duszpasterstwo młodzieżowe, formacja ewangelizatorów, formacja osób konsekrowanych, praca poprzez środki komunikacji społecznej (wydawnictwa, czasopisma, radio, telewizja, ...), praca wśród emigrantów, promocja socjalna, a przede wszystkim misje *ad gentes* w wielu krajach misyjnych. A wszystko to czynimy w duchu misjonarskim i ewangelizacyjnym na styl Ojca Klareta.

MISJONARZE KLARETYNI

zapraszają do swej Misjonarskiej Wspólnoty kandydatów na kapłanów po maturze oraz na braci zakonnych po każdej szkole ponadgimnazjalnej.

Jeśli Jezus wzywa Cię do misjonarskiej służby Słowa, napisz pod adres:

Misjonarze Klaretyni Referat Powołań

ul. Klaretyńska 11, 91-117 Łódź

tel. 071/ 348 15 29

e-mail: referatcmf@wp.pl

www.klaretyni.pl

Prokura Misyjna Misjonarzy Klaretyków

Pragniemy, abyś i TY – poprzez modlitwę, cierpienie, ofiarę, świadectwo życia – uczestniczył(a) wraz z nami w głoszeniu Słowa, które niesie nadzieję napęłnia radością, rodzi pokój i zbawia.

Zostając PRZYJACIELEM naszej misji, będziesz miał większy udział w dziele ewangelizacji Kościoła oraz zostaniesz Członkiem RODZINY KLARETYŃSKIEJ.

Uczestnicząc w dobrach duchowych naszego Zgromadzenia, będziesz włączony do naszej codziennej modlitwy, będziesz korzystał z owoców Eucharystii odprawianych za Przyjaciół Misji Klaretyńskich.

Potrzebujemy Twojej pomocy,

Twojego dobrego serca,

Twojej modlitwy,

Twojego świadectwa życia!

Misjonarze Klaretyni Prokura Misyjna

ul. Wieniawskiego 38, 51-611 Wrocław

Tel. (071)348 20 47; 348 30 86

Konto Bankowe

Millennium S.A. 10 o/Warszawa

Nr R-ku: **07 1160 2202 0000 0000 2077 2937**

RUCH ŚWIECKICH KLARETYNÓW

„W tych ostatecznych czasach wydaje się, że Bóg chce, aby świeccy odgrywali większą rolę w zbawianiu dusz” (św. Antoni Maria Klaret).

Ruch Świeckich Klaretynów bierze swój początek z grup laików, które św. Antoni Maria Klaret utworzył dla dzieła ewangelizacji. Wśród tych grup wyróżniają się: Bractwo Serca Maryi (1847), Bractwo Nauki Chrześcijańskiej (1849), Akademia Świętego Michała (1858), Biblioteki Ludowe i Parafialne (1864). W tym samym roku planował utworzyć Stowarzyszenie zwane Arcybractwem Serca Maryi, które pomyślał jako wielką armię ewangelizatorów, złożoną z trzech korpusów: Misjonarze Synowie Serca Maryi, oddani ewangelizacji wędrownej; Duchowni Świeccy, którzy realizowaliby misję apostołską za pośrednictwem stałych i trwałych struktur ewangelizacyjnych oraz świeccy.

Śmierć Klareta (1870) i ciężka sytuacja Kościoła hiszpańskiego począwszy od Rewolucji z 1868 roku złożyły się na bardzo trudne warunki do przeżycia dla grup świeckich założonych przez Klareta. W rzeczywistości na przestrzeni

niewielu lat wszystkie znikły. Znikły grupy, ale przetrwało wielu ludzi świeckich, którzy ożywieli duchem Klareta współpracowali w dziele ewangelizacji, przede wszystkim u boku Misjonarzy Klaretynów.

Proces reorganizacji laikatów klaretynowskich rozpoczyna się w roku 1938 dzięki działaniom Przełożonego Generalnego Misjonarzy, który tworzy Stowarzyszenie Współpracowników Klaretynowskich. To stowarzyszenie pomyślane jako „dzieło własne” Zgromadzenia zostało zatwierdzone przez Stolicę Świętą w 1943 roku. W jego statucie mówi się, że współpracownikami klaretynowskimi mogą zostać ci ludzie, którzy pragną żyć zgodnie z duchem Zgromadzenia i współpracować w jego apostołstwie.

Poczynając od roku 1972, współpracownicy klaretynscy przyjmują nazwę Klaretynów Stowarzyszonych. Kapituła Generalna Zgromadzenia z roku 1973 mówi, że Klaretynami Stowarzyszonymi są duchowni i świeccy, którzy uczestniczą w charyzmacie klaretynskim i którzy się angażują, w różnym stopniu i stałym sposobie, praktykując go wspólnie ze Zgromadzeniem Misjonarzy.

W 1979 roku przybiera nazwę Świeckich Klaretynów. Kapituła Generalna z tego samego roku wyznacza nowy kierunek dla laikatu klaretynskiego. Stwierdza, że promocja laikatu klaretynskiego powinna być prowadzona nie dla potrzeb Zgromadzenia, ale jako wartość, którą posiada samo w sobie świeckie powołanie klaretynskie, to znaczy, aby wspierać działanie Ducha, który od samego początku wezwał także świeckich do realizacji misji klaretynskiej.

Świeccy i zakonnicy stanowią dwa różne sposoby bycia klaretynem. Świeccy klaretyni nie uczestniczą w charyzmacie Zgromadzenia, jak to było przedstawiane na poprzednich etapach, ale uczestniczą w charyzmacie i misji Klareta.

MODLITWA APOSTOLSKA **św. Antoniego Marii Klareta**

Boże mój i Ojcze!
Spraw,
abym Cię poznał,
a przeze mnie inni Cię poznali;
abym Cię kochał,
a przeze mnie inni Cię kochali;
abym Ci służył,
a przeze mnie inni Ci służyli;
abym Cię słaawił,
a przeze mnie wszystkie stworzenia
Cię wychwalały.
Spraw, Ojcze mój,
aby wszyscy grzesznicy się nawrócili,
i wszyscy sprawiedliwi wytrwali w łasce,
abyśmy wszyscy osiągnęli chwałę wieczną.
Amen.

SPIS TREŚCI

WPROWADZENIE DO WYDANIA POLSKIEGO	5
WSTĘP	7
1. PIERWSZE LATA MOJGO ŻYCIA	9
W domu rodzinnym	11
Żywe wspomnienia	12
Lata spędzone w Barcelonie	13
Doświadczenie pozostawiające ślady	15
Ważna decyzja	19
2. ROZPOZNAWANIE POWOŁANIA	21
W mieście Vic	23
Życie seminarzysty	24
Pragnienie zostania kartuzem	26
Pomogła mi Maryja Dziewica	28
Przy święceniach diakonatu	30
Wyświęcony na kapłana	31
Nasz Ksiądz Antoni	32
W środowisku wojny	33
Prześladowanie religijne	34
Był to trudny początek	35
Posłany jak Prorocy	37
Z Rzymu w szeroki świat	40
W Towarzystwie Jezusowym	42
Proboszcz, lekarz i misjonarz	45

3. MISJONARZ APOSTOLSKI	49
Misjonarz, podobnie jak pan Jezus: pełen miłosierdzia	51
Misjonarz podobnie jak Pan Jezus: wysłany przez Ojca	52
Misjonarz podobnie jak Pan Jezus: prowadzi przykładne życie	54
Mój własny styl misyjny	55
Po drogach Katalonii	57
Trudności i prześladowania	59
Pracowałem w następujący sposób	61
Maryja, Matka i Mistrzynie	62
Wszystkie możliwe środki	63
Świadectwo mego własnego życia	65
Świeccy ewangelizatorzy	68
Zakonnice w swoich domach	69
Na Wyspach Kanaryjskich.....	71
Ojczulek	72
Zgromadzenie Misjonarzy	74
Dziś rozpoczyna się Wielkie Dzieło	75
Misyjny charakter Zgromadzenia	77
Odnoszę to sam do siebie	80
4. PRZEDE WSZYSTKIM JESTEM MISJONARZEM	83
Arcybiskupem w Santiago de Cuba	85
Rok intensywnej aktywności	86
Na Wyspie Kuba	87
Arcybiskup misyjny	89

Moja postawa misyjna	90
Misyjna siła wspólnoty	93
Siostry Zakonne Maryi Niepokalanej	94
Nastawano na moje życie	95
Gdy wyjeżdżałem z Wyspy	97
Na dworze królewskim w Madrycie	98
Jak ptak w klatce	99
Inny sposób bycia Misjonarzem	100
Dzień powszedni	105
Kalumnie i zamachy	108
W zażyłości z Bogiem	109
Towarzysząc w drodze Zgromadzeniu Misjonarzy	110
5. GŁOS BOŻY NIE UMIERA	113
Droga na wygnanie	115
Sobór Watykański I	116
Ostatnie dni	117
Ważniejsze daty z życia św. Antoniego Marii Klareta	121
DODATEK – ŚLADAMI OJCA KLARETA	125
Misjonarze Synowie Niepokalanego Serca Maryi (Misjonarze Klaretyni)	127
Prokura Misyjna Misjonarzy Klaretynów	133
Ruch Świeckich Klaretynów	134
Modlitwa Apostolska św. Antoniego Marii Klareta	137

